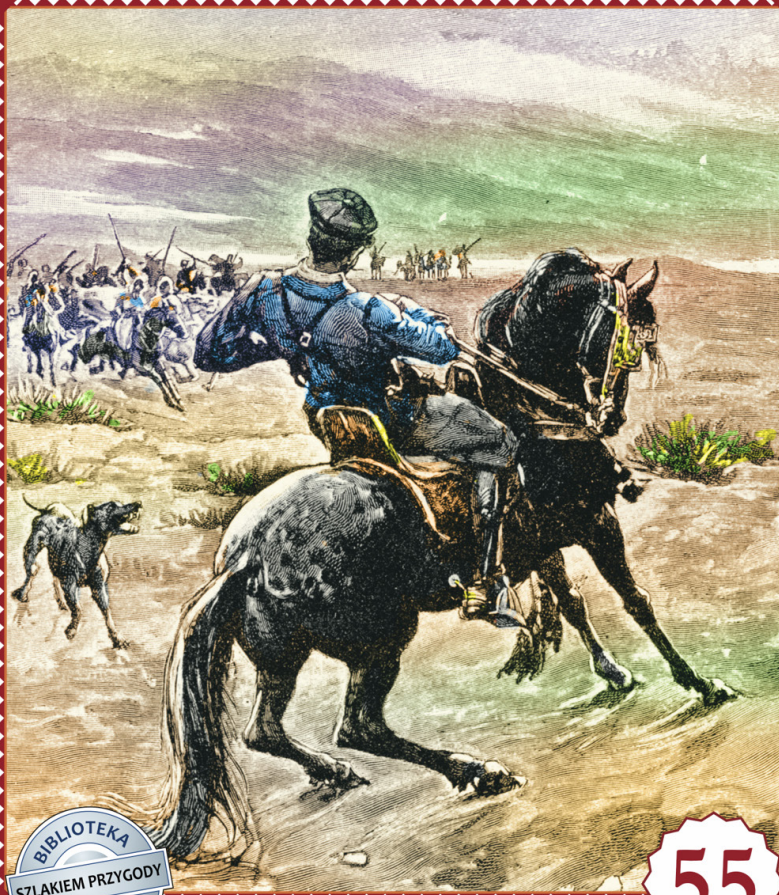




Paul d'Ivoi WOJNA O WODĘ

Druga część cyklu „Pani kapitan Nilia”



BIBLIOTEKA
SZLAKIEM PRZYGODY
ANDRZEJA

55

ISBN 978-83-67876-56-8 (całość)

ISBN 978-83-67876-58-2 (część 2)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Paul d'Ivoi

Wojna o wodę



Paul d'Ivoi to pseudonim Paula Deleutre (1856-1915), pochodzącego z rodu pisarzy. Jego dziadek Edouard i ojciec Charles również podpisywali niektóre swe dzieła pseudonimem Paul d'Ivoi.

Studiował prawo w Paryżu, ale podążył drogą ojca i dziadka, wybierając literaturę. Zadebiutował jako żurnalista w dziennikach „Paris-Journal” i „Figaro”. Pod pseudonimem Paul d'Ivoi pisywał też do tygodników ilustrowanych „Journal des Voyages” i „Petit Journal”.

Działalność literacką zaczął od sztuk bulwarowych: *Le mari de ma femme* (1887) czy *La pie au nid* (1887) oraz kilku powieści w odcinkach, które nie zwróciły uwagi, jak *Le capitaine Jean*, *La femme au diadème rouge*, *Olympia et Cie*.

W latach 1894-1914 wydał 21 książek tworzących serię „Voyages excentriques” [Dziwne podróże], wykorzystującą wzór „Voyages extraordinaires” Julesa Verne’a. Podobne były nawet okładki, powtarzały się także te same motywy. Obaj autorzy dzielili to samo nastawienie do czytelnika, pragnienie zapewniania mu rozrywki i wiedzy (geograficznej, przyrodniczej, technicznej). Z entuzjazmem dla rozwoju nauki i wynalazków łączyły się obawy przed niewłaściwym ich wykorzystywaniem.

W roku 1894 pierwszy tom tej serii, tworzący trzyczęściowy cykl *Les Cinq Sous de Lavarède*, napisany wspólnie z Henrim Chabrilatem, przyniósł mu sławę. Była to jego najbardziej realistyczna powieść, następne bowiem stawały się coraz bardziej naukowe i przesycane fantazją umyślnie naiwną. Seria, ukazująca się w wydawnictwie Boivin et Cie, była przeznaczona dla młodzieży. Kolejne tomy ukazywały się z częstotliwością jednej powieści na rok.

Paul d'Ivoi tworzył też, razem z pułkownikiem Royetem, opowiadania patriotyczne, np. *Les briseurs d'épée*, a także historyczne, pod pseudonimem Paul Eric, np. *Les cinquante*. Występują w nich typowe dla owej epoki stereotypy dotyczące poszczególnych narodów i ras.

Patriotyzm d'Ivoi zbliża się niekiedy do nacjonalizmu. W złym świetle przedstawiani są głównie Niemcy, a także Anglicy zagrażający francuskiemu interesom. Wychwalane są za to zalety Francuzów i ich umysłowość (*esprit parisienne*, „duch paryski”, wyrażający się pomysłowością, bystrością umysłu, skłonnością do płatania figli, lekkim traktowaniem prawa i zasad, zapalczywością, a przy tym nieskazitelną prawością).

Książki Paula d'Ivoi cieszyły się prawie do końca XX wieku dużą popularnością we Francji, miały wiele wydań.

Wielu czytelników, zwłaszcza młodych, przedkładało je nad dzieła Verne’a, gdyż zawierały więcej przygód, a ich akcja toczyła się szybciej. Toteż na przykład Jean-Paul Sartre pisał w swej autobiografii *Les Mots*, że zawierały więcej nadzwyczajności.

Paul d'Ivoi



WOJNA O WODĘ

Druga część cyklu „Pani kapitan Nilia”

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Sto pięćdziesiąta piąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Pięćdziesiąty piąty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
La Capitaine Nilia

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2025

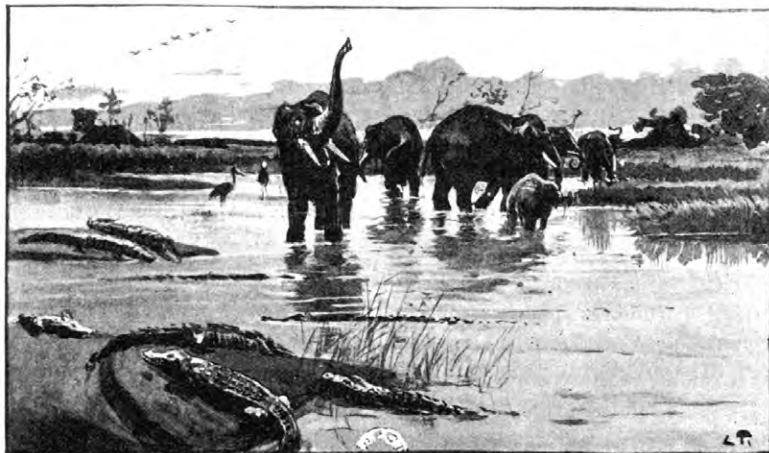
61 ilustracji, w tym 5 kart tablicowych kolorowych: Louis Tinayre

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-56-8 (całość)
ISBN 978-83-67876-58-2 (część druga)



Rozdział I

Bahr el-Ghazal

Na obszarze wielkim jak Francja ciągną się, dokąd tylko sięga wzrok, olbrzymie mokradła. Nieustannie zalewają je wody Nilu Białego¹, nadpływającego z wielkich jezior afrykańskich, jak też gęstej sieci innych rzek, tworzących Bahr-el-Ghazal².

Ziemia jest tam płaska. Nie ma wcale jej nachylenia. Wody tkwią długo w miejscu, zastanawiając się nad wyborem dalszej drogi.

Wyruszają tą wiodącą na północ. Równie dobrze mogłyby popłynąć do Konga i przepaść w zielonych falach Atlantyku, zamiast zmieścić do rozpląnięcia się w błękitnych toniach Morza Śródziemnego.

Wówczas niedostatecznie zaopatrywany w wodę Egipt nie miałby swojej wielkiej historii. Byłby sztucznym przedłużeniem Sahary, z ogromnym trudem zapewniającym wyżywienie nielicznym plemionom koczowniczych Beduinów.

¹ *Nil Biały* – wielka rzeka w północno-wschodniej Afryce, długości około 3700 km, wypływa z jeziora Wiktorii, płynie na północ, pod Chartumem łączy się z Nilem Błękitnym, tworząc Nil.

² *Bahr el-Ghazal* – inaczej Sudd, kraina w północnej części Sudanu Południowego, o powierzchni około 57 000 km², czyli jednej dwunastej obszaru Francji, podmokła, zalewana przez Nil Biały i rzekę Bahr el-Ghazal, o żyznych glebach.

Także obecnie Egipt jest nadal zależny od dobrej woli kilku tysięcy robotników, którzy w kilka tygodni mogliby skierować do porywczego Konga ogromne masy wody niesione przez Nil Biały i Bahr-el-Ghazal.

Dlatego Anglia chciała Faszody, dlatego swoje panowanie rozciągnęła aż do wielkich jezior, po przemierzeniu przeszło 5000 kilometrów w górę kołyszącego nurtu świętej rzeki.

Dla tego narodu wielkich kupców Egipt jest kufrem pełnym bogactw; kluczem zaś do niego są mokradła w środku Afryki. Jest więc w pełni zrozumiałe, że Albion chciał je posiadać.

Kraina ta ma wartość polityczną, żadną inną. Uczynienie jej zdrową wymagałoby poświęcenia życia milionów ludzi i miliardów w złocie. Nawet wtedy nie przynosiłaby najmniejszych korzyści, niemniej jest zbiornikiem wody, która karmi i użyźnia pola fellachów. Właśnie śpiąca tam woda jest majątkiem, a nawet życiem Egiptu.

Smutna kraina. Wszędzie zalewiska, kanały rozdzielające się w nieskończoność; jedno zarośnięte wodnymi trawami, trzcinami i bambusami sięgającymi sześć i siedem metrów wysokości; inne pozbawione roślinności, o ołowianej barwy powierzchni tkwiącej nieruchomo pod skwarными promieniami słońca.

Wyłaniają się tam spore, piaszczyste lub wapienne wysepki, obrzeżone występami z błota. Niektóre z nich grupują się w archipelagi, pozostałe oddzielają od siebie prawdziwe jeziora. To właśnie tam wylegają się krokodyle, hipopotamy i bawoły z zakrzywionymi rogami, będące absolutnymi władcami tego opustoszałego kraju, którego przed wtargnięciem człowieka broni zaraźliwa gorączka.

To właśnie przez tą płataninę prowadził niegdyś swoich ludzi bohaterski komendant Marchand.

To tam przebywał teraz Robert Lavarède wraz ze swoim kuzynem Armandem, z Aurett, Lotią, Nilią, Jackiem i wszystkimi tymi, którzy wiedzeni nienawiścią do ciemieńczy uciekli z Egiptu.

To na wąskim jeziorze łądu, zewsząd otoczonym kanałami ledwo przeciskającymi się między niezliczonymi wysepkami, obozował z przyjaciółmi wódz powstania egipskiego

Robert i Armand stali na samym skraju twardego gruntu, przyglądając się odbywającemu się na ich oczach widowisku.

Było ono ciekawe.

Mokradła wyglądały jak krzątające się mrowisko wypełnione ludźmi.

Nieustannie przecinały je tratwy i płaskodenne czółna, mające wysoko uniesione dzioby. Były one obsadzone wojownikami o skórze czarnej, białej i o wszystkich innych barwach przybieranych przez mieszkańców Afryki.

Każdy z nich dzierżył różne narzędzia, jak rydle, kilofy i łopaty; jedne były wyrobami europejskimi produkcji, inne zaś, prostszej budowy, powstały w warsztatach miejscowych.

Robotnicy ci tworzyli zespoły udające się, aby zastąpić tych, którzy wykonali już swoje codzienne zadania.

Przez pięć tygodni owi ludzie, dla których bodźcem był patriotyzm i pragnienie wolności, wykonali gigantyczne dzieło.

Ogromna tama zatrzymała wody Nilu Białego i Bahr-el-Ghazalu, zawracając je na płaskowyż w środku, którego drugi koniec wydłużało sto tysięcy żołnierzy Roberta, aby mogły popłynąć w stronę Konga.

Pomiędzy łodziami i pływającymi tratwami po powierzchni kanałów szybko przemykali się ludzie. Na nogach mieli rakiety, przypominające te używane przez Skandynawów do chodzenia po śniegu. Różniły się dołączoną do nich i spoczywającą na wodzie komorą powietrzną, podobną do opon rowerowych.

– Te „buty wodne” są wspaniałe – zauważył Armand Lavarède, wskazując palcem jednego z noszących je biegaczy. – Spełnił się cud i człowiek chodzi po płynnym żywiole...

– Dzięki badaniom pana Aubry’ego – stwierdził jego kuzyn – tego wytrwałego wynalazcy, który pomimo szyderstw, jakich nigdy nie żalowali mu ignoranci, przeprowadzał nadal na wybrzeżu kanału La Manche swoje eksperymenty i zdołał wykazać, że jego przyrząd nawet przy silnym falowaniu jest w stanie z łatwością utrzymywać się na powierzchni wody.

– Niech żyje Aubry! Wierzimy w niego... a oto dowód...

– Buty wodne są bardzo przydatne w tym podmokłym kraju. Bez nich bylibyśmy znacznie bardziej uziemieni.

– Nareszcie zostały wykonane główne prace. Za osiem dni Nil Biały i Bahr-el-Ghazal nie będą dłużej płynęły na północ. Jeśli cesarz Menelik¹ dotrzyma złożonej obietnicy i ze swej strony tak skieruje wody Nilu Błękitnego², że będą wpadały do Oceanu Indyjskiego, kraj ten przestanie nadawać się do zamieszkania od Faszody po Barbaru. Oznacza to, że Brytyjczycy zostaną zmuszeni do wycofania się o przeszło tysiąc kilometrów, i to bez wydania im bitwy. Taki sukces znacznie podniesie morale naszych żołnierzy. Ponadto odwołując czas stoczenia rozstrzygającego starcia wzmacniam zwartość i dyscyplinę naszych wojsk. Jeszcze dwa miesiące temu miałem pod sobą jedynie zbieraninę, na którą składały się wszystkie ludy, które zamieszkują dolinę Nilu. Po wojskowemu zorganizowane były jedynie pułki egipskie. Dzięki nim byłem w stanie pozyskać dobrych dowódców, a teraz Nubijczycy, Derwisze³, Kongijczycy, czyli wszyscy, pojmują przewagę szkolenia europejskiego. Jeszcze kilka tygodni i zobaczysz, do czego są zdolni ci żołnierze z Czarnego Łądu. Nieustannie dociera do nas broń. Cała nasza piechota otrzyma karabiny... przydałaby się artyleria, ale no cóż! Działa mają Anglicy, zabierzemy je im.

Francuz mówił to z czołem uniesionym z dumy. Przestał być uśmiechniętym, niegroźnym turystą. Po przyjęciu na siebie poważnych obowiązków wzniósł się na wyższy poziom, przekształcił w myślącego o wszystkim naczelnego wodza.

Natomiast Armand się nie zmienił; pozostał paryskim dziennikarzem, kpiącym i beztroskim.

Zapewnienie kuzyna przyjął wybuchem śmiechu.

¹ *Menelik II* (1844-1913) – Sahle Maryam, od roku 1875 po ojcu król Szeua, walczył z cesarzem Yohannesem IV, po jego śmierci od roku 1889 wybrany na cesarza Etiopii, zjednoczył kraj, zaczął jego unowocześnianie, wprowadził wiele reform.

² *Nil Błękitny* – wielka rzeka w północno-wschodniej Afryce, o długości około 1450 km, wypływa z jeziora Tana w Etiopii, pod Chartumem łączy się z Nilem Białym, tworząc Nil, dostarcza znacznej większości jego wód.

³ *Derwisze* – tutaj nie członkowie muzułmańskiego bractwa religijnego o charakterze mistycznym, ale wojownicy, którzy pod wodzą Muhammada Abdullaha Hassana utworzyli w roku 1899 państwo w północnej Somalii, odparło ono kilka wypraw brytyjskich, pokonane w roku 1920.

– Zabierzesz te działa, jeśli się do nich zbliżysz... ja też je zabiorę... No przecież! Nie dostrzegam sposobu ich zdobycia.

Robert zapytał go spojrzeniem:

– Przyznaję, przekształcasz brzegi Nilu w pustynię. Pozbawieni wody Anglicy, będą musieli się wycofać, to pewne. Jak jednak zdołasz ich ścigać mając z sobą milion ludzi? Nie będą mieli wody tak samo, jak nasi wrogowie.

– Mylisz się, dla nas jej nie zabraknie.

Po tej nieoczekiwanej odpowiedzi Armandowi wymknął się gest wyrażający zaskoczenie.

– Do licha – nie ustępował – usunięcie wody i sprawienie, że ci jej nie zabraknie, jest chyba trudniejsze, niż mydlenie komuś oczu?

Rozdrażniony uśmiechem kuzyna, dodał:

– Wyjaśnij mi to.

Ale Robert pokręcił głową.

– Nie. Jutro rozpoczynamy wyprawę i sam zobaczysz.

– Ostrożność...

– U generała nigdy nie ma jej za wiele.

Paryżanin wybuchnął śmiechem.

– Ach tak! Naprawdę uważasz się za generała!

Jego rozbawienie uleciało jakby zdmuchnięte zaklęciem. Narzeczony Lotii spowaźniał. Jego oczy rzucały na rozmówcę spojrzenia pełne dziwnej władzy.

– Mógłbym ci odrzec, że każdy Francuz jest żołnierzem, którego tornister skrywa gwiazdki generalskie... co może by ciebie nie przekonało. Dlatego dodam, że w walkę tutaj wkładam nie tylko umysł, ale i serce.

I dodał łagodnie, z przekonującą żarliwością:

– Odkąd karrowarką opuściliśmy Kair, odkąd kilka kilometrów za miastem porzuciliśmy doktora Gorgiusa Kaufmanna, wiele się zastanawiałem. Lękałem się trochę ogromnej roli, której przyjęcie narzuciły mi okoliczności. Ja, dawny kasjer w spółce Brice et Molbec, wytwórni przyrządów optycznych, zostałem dowódcą setek tysięcy ludzi. Mnie, mało znaczącemu pracownikowi, przypadło zadanie przeganiaania wojsk najpotężniejszego z cywilizowanych

narodów. Całe szczęście dzięki przykładom historycznym zdołałem odzyskać pewność siebie. Jeżeli Francja jest wielkim państwem, to dzięki swemu sercu, gotowemu bić dla szlachetnych idei, i wyłącznie dzięki swemu sercu.

Dziennikarz nagle się wzdrygnął.

– Och! Och! Znowu...

– Wątpisz, no to posłuchaj. Doszło do najazdu na Francję, słaniające się na nogach królestwo ze wszystkich stron atakowały wojska angielskie. Jeszcze jeden ich wysiłek, a nazwa Francji zostałaby wymazana z kart dziejów. Wówczas pojawiła się Joanna d'Arc, zacna Lotarynka. Czy naszych szlachciców uczyniła lepiej wykształconymi, czy dostarczyła im większej wiedzy o prowadzeniu wojny? Skądże. Podniosła ich na sercu, to wszystko. Powiedziała im: Rusz przodem naprzód z moim sztandarem, wy podążajcie za mną. Zwycięscy Anglicy zostali odepchnięci, rozgromieni i rozproszeni. Francja ocalała, ponieważ pokochała pokorną bohaterkę, która w ofierze oddała „za triumf uciśnionych całą krew swojego serca”. W czasach zagrożenia zawsze działa się tak samo; pojawia się wtedy postać kobiety, dobrej bądź złej, wywołującej skutek czułości lub nienawiści rozdygotanie francuskiej duszy. Przywołam tu jeszcze Jeanne Hachette¹ z Beauvais i Suzanne Didier², lotaryńską wieśniaczkę z Villedieu³, która w 1870 roku kosztem własnego życia umożliwiła naszym żołnierzom ucieczkę przed wrogiem. Wiesz o nich tak samo jak ja. Natomiast ja mam Lotię. To jej wiara w zwycięstwo przeistoczyła twojego kuzyna w wodza. Spojrzeniem jej wielkich oczu doprowadziło do rewolucji w moim umyśle. Francja i Lotia, ta święta i czuła dewiza zmieniły całkowicie moją wolę i moje poświęcenie. Gdybym pozostał w Paryżu, nigdy bym się nawet nie domyślał, do czego jestem zdolny. Pojawił się obowiązek, chwycił mnie za rękę

¹ *Jeanne Hachette* (ok. 1454-?) – Jeanne Laisné, wieśniaczka, w legendzie miała uratować swoje rodzinne miasto, Beauvais, podczas oblężenia go w roku 1472 przez wojska księcia Burgundii, Karola Zuchwałego, walcząc toporem, stąd jej przydomek Hachette (po francusku siekiera).

² *Suzanne Didier* – legendarna bohaterka wojny francusko-pruskiej, która rzekomo ocaliła francuskich żołnierzy, za co spotkała ją okrutna egzekucja przez Prusaków.

³ *Villedieu* – nazwa wielu miejscowości we Francji, najbliższej Lotaryngii leży La Villedieu-en-Fontenette we Franche-Comté.

i nagle poszerzył moje horyzonty... ożyła mapa dorzecza Nilu, pojąłem oszołomiony, jakie możliwości wojenne otwiera przede mną przyroda, odkryłem skarby wyobraźni wojskowej... Francuskie serce raz jeszcze stworzyło wodza.

Było to powiedziane tak prosto, że wywołało wzruszenie Armanda.

Podał rękę swojemu rozmówcy.

– Czyli rozwiązałeś problem wody?

– Rozwiązałem.

– I nawet obdarzysz mnie zaufaniem?

– Jutro wyruszamy.

– Dobrze. A teraz wróćmy do naszych przyjaciół.

Dwaj kuzyni opuścili posterunek obserwacyjny i poszli na środek wysepek.

Obok ogromnego, okrągłego namiotu siedziały Aurett, Lotia i Nilia, mające naprzeciw siebie Jacka. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem, czemu z wyraźną przyjemnością przyglądał się Hope, naśladujący nawet gesty ludzi.

Dyskusja bez wątpienia musiała być gorąca, gdyż przywódcy powstania mogli niezauważenie podejść do grupy.

– Oczywiście – mówił Brązowowłosy Price – naród angielski zapewnił mi dobrą matkę i oddanych przyjaciół; pozwolił też zyskać wykształcenie. Okazałbym niewdzięczność, gdybym przeciwko niemu wystąpił zbrojnie.

– A zatem – złośliwie przerwała mu Lotia – co pan tu robi?

– Jestem francuskim sztandarem powiewającym nad namiotem wodza.

– A kiedy ta flaga wymaszeruje na spotkanie oddziałów brytyjskich?

– Nadal będę za nią podążał.

Młode kobiety uśmiechnęły się, a narzeczona Roberta, wyraźnie usposobiona do przekomarzania się, zapytała:



– I będzie pan walczył ze swoimi dawnymi... rodakami?

Jack pokręcił głową:

– Ależ nie. Mam obowiązek towarzyszenia trójkolorowemu sztan-darowi i uczynienia go szansem broniącym moją pierś. Mogę to czy-nić bez uderzania na przeciwnika, z którym jestem połączony więzami wdzięczności. Moją jedyną bronią będzie laseczka. Tuszę, że dzięki temu mój honor nie dozna uszczerbku. Powodowany patriotyzmem złożę w ofierze moje życie, a powodowany wdzięcznością nie będę go bronił.

Nagle przestał mówić.

Robert podszedł do niego i kładąc mu serdecznie dłoń na ramie-niu, powiedział poważnym tonem:

– Pięknie, sir Jacku, mówi pan z głębi serca i zawsze postępuje zgodnie z tym, co uważa za słuszne.

Zaraz dodał łagodniej:

– Rad jestem widząc pana wśród nas. – Następnie zwrócił się do Armanda: – Kolejny rekrut potwierdzający moje słowa; jesteście dłużnikami panny Nili.

Młoda dziewczyna się zarumieniła. Usiłowała sprzeciwić się ge-stem, ale Robert dodał od razu:

– Proszę nie zaprzeczać... Jest jasne, że jak my wszyscy, nic pani nie pojmuje z opowieści naszego przyjaciela Jacka. Nie zachowała pani w pamięci swoich rozmów z nim. Oto tajemnica, którą kiedyś poznamy.

– W każdym razie – z uśmiechem powiedziała Aurett – Nilia nie może być niezadowolona z tej przygody. Jest wolna...

– Jak też – z uczuciem zawołała dziewczyna – znalazłam w to-bie najbliższą i najserdeczniejszą przyjaciółkę. Dwa miesiące temu byłam prawdziwą dzikuską, na niczym się nieznającą. Ty podjąłeś się zadania uczynienia ze mnie kobiety. Uczysz mnie tego, czego nie wiem. Mam wrażenie, że obudziłam się ze strasznego koszmaru i w śnie spaceruję teraz pośród kwiatów.

Aurett chwyciła obie jej ręce.

– Tylko takiego jesteś godna, Nilio.

– A sen to właściwe słowo – dodał Armand – bo rzeczywisty kra-jobraz tutaj jest raczej odludny.

Była więźniarka Kaufmanna pokręciła piękną głową.

– Nie ma pan pojęcia, czym jest długa niewola, bo inaczej wiedziałby, że wszystko teraz wydaje mi się piękne. Ogromne błękitne niebo, uśpione wody, pokrywane przez słońce złotymi wyszywaniem, wysokie bambusy, żółte i zielone, wszystko mnie zachwyca, oczarowuje..., a wy wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy.

Mówiła to ze wzruszeniem. Jej łagodne oczy były zamglone warstwą wilgoci.

Robert także podał jej rękę.

– W każdym razie, panno Nilio, nie pogardzimy odrobiną rozrywki. Jutro wszyscy wyruszamy na wyprawę wojenną. Ostatni spacer po mokradłach. Potem pozostanie nam tylko pomaszzerowanie przeciwko ciemieżcom Egiptu.

– Dokąd się udamy? – młoda dziewczyna zapytała z ciekawością.

– Do Tambury¹, pierwszego posterunku, założonego kiedyś przez komendanta Marchand nad Soueh², jedną z niezliczonych rzeczek składających się na mokradła Bahr-el-Ghazal.

– Dlaczego?

– Och! Nie w celu odwiedzenia tego posterunku. Od dawno jest opuszczony, ale napotkamy tam... garncarzy.

– Garncarzy?

Robert wpatrywał się długo w uśmiechniętą Lotię.

– To panią zainteresuje, proszę nie pytać o nic więcej.

Następnie, zmieniając ton:

– A właśnie. Na pewno nie wiecie, że na brzegach wysepki, na której teraz obozujemy, o mało nie zginął kapitan Baratier³, bohater-ski towarzysz Marchanda.

– Tutaj? – zawołały młode kobiety, podnosząc się w krzesłach.

¹ *Tambura* – obecnie Tumbura, małe (ma około 9500 mieszkańców) miasto w południowo-zachodniej części Sudanu Południowego, nad rzeką Soueh, blisko jej źródeł i granicy z Republiką Środkowoafrykańską.

² *Soueh* – Sue, nazwa górnego odcinka rzeki Jur, płynącej w zachodniej części Sudanu Południowego, lewy dopływ Bahr el Ghazal, o długości 485 km, płynie głównie na północ przez wschodnią część mokradel Bahr el Ghazal.

³ *Albert Baratier* (1864-1917) – francuski wojskowy, służył w Afryce, zastępca Marchanda podczas jego misji, badał bieg rzek Soueh i Bahr el Ghazal, od roku 1914 generał, zginął podczas odwiedzin frontu.

– Właśnie tutaj.

– Jak?

– Opowiem wam.

I po przerwie, będącej chwytem często używanym przez opowiadającego, który chce przykuć uwagę:

– Baratier wyruszył z fortu Desaix¹ nad rzeką Soueh, aby zbadać bagna aż do Nilu. Miał za zadanie wytyczenie trasy, którą będzie się posuwała większa część misji Kongo-Nil. W *boat*², czyli płaskiej łodzi, wraz z kilkoma sudańskimi strzelcami i czarnoskórymi wioślarzami podążał przez pustynię traw, bambusów i trzin. Cierpiał głód, podobne jak jego towarzysze.

– Dzielni ludzie! – szepnął pod nosem Armand.

– Jak można zaprzeczyć? – mówił dalej Robert. – Dotarli tak do tego miejsca, o tu... płynąc wzdłuż wysepki. Na środku nurtu parskali hipopotam. Hipopotam, a zatem od tysiąca do tysiąca dwustu kilogramów mięsa... Jakaż pokusa dla głodujących! Dlatego trzask...! Nastąpił wystrzał. Ranne zwierzę podskoczyło, a potem, rozjuszony bólem i gniewem, rzuciło się na łódź, potężnymi zębiskami chwyciło jej burtę i wściekle potrząsało. Baratier akurat wtedy stał. Napaść była tak mocna, że stracił równowagę. Wpadł do wody. Och, bądźcie spokojni! Było tam płytko... ale dno tworzyło miękkie błoto, w którym się zapadał. Wyciągnął ręce, aby się czegoś uchwycić, za coś złapać. Natrafił na pień drzewa i się go uczepił. Biada! Pień się poruszył... Drzewo okazało się śpiącym krokodylem. Na szczęście jeden strzelec podszedł do hipopotama i posłał mu kulę prosto w czaszkę... wystrzał przestraszył gada, zwierzę uciekło, i Baratier mógł wrócić na pokład łodzi. Właśnie tutaj, w miejscu, gdzie teraz siedzimy, poćwiartowano i zjedzono większą część hipopotama, upolowanego w tych budzących emocje okolicznościach.

Zaczęła się ogólna rozmowa. Wszyscy pamiętali wydarzenia z owego nadzwyczajnego marszu (przez 7500 kilometrów), jakiego misja

¹ Fort Desaix – w południowo-zachodniej części Sudanu Południowego, u ujścia rzeki Ouau do Soueh, 30 km na północ od obecnego miasta Waw, założony w roku 1898 podczas misji Marchanda, szybko porzucony.

² Boat (ang.) – łódź, łódka.

Marchanda dokonała przez czarny ląd, z Loango¹ nad Atlantykiem do Brazzaville, Bangui, Zemio, N'Boomy², Tambury, Fort Desaix, Faszody, Harraru i Dżibuti³ nad Oceanem Indyjskim.

Przypomnieli też sobie wszyscy godną podziwu komedię wojenną, dzięki której Anglia uzyskała porzucenie przez Francję ziem, jakie zdobyła dla niej garstkę bohaterów. Tworzyli ją Marchand, Baratier, Germain, Mangin, Gouly, de Prat, Monis, Largeau, Emily⁴,

¹ *Loango* – miasto w południowo-zachodniej części Konga, nad Atlantykiem, dawna stolica królestwa Loango, kiedyś jeden z głównych portów, z których wywożono niewolników, później podupadło, od roku 1883 w posiadaniu Francji.

² *Brazzaville* – miasto nad rzeką Konga, na miejscu wioski Mfoa, założone w roku 1880 przez francuskiego odkrywcę Pierre'a Savorgana de Brazza, stolica Konga Francuskiego, potem niepodległego Konga, ma około 2,1 mln mieszkańców; *Bangui* – stolica Republiki Środkowoafrykańskiej, w południowo-zachodniej części tego kraju, nad Ubangi, miasto założone przez Francuzów w roku 1889, obecnie liczy około 1 200 000 mieszkańców; *Zemio* – małe (8 tys. mieszkańców) miasto w południowo-wschodniej części Republiki Środkowoafrykańskiej, nad rzeką Bomu, stolica sułtanatu Zemio, jego władca w roku 1895 pozwolił Francji zbudować tam fort, w ramach przygotowań do misji Marchanda; *N'Booma* – na mapie *La Mission Marchand et l'Angleterre*, zamieszczonej w „Le Petite Journal” w numerze z 9.10.1898, jest M'Bima, miejscowość leżąca na trasie misji Marchanda między Zemio i Tamburą, 90 km na południowy zachód od Tambury.

³ *Harrar* – obecnie Harar, miasto we wschodniej Etiopii, bardzo stary ośrodek handlowy, w X-XII wieku niezależne miasto-państwo-miasto, potem stolica sułtanatu, od XIX wieku w Etiopii, nazywane „czwartym najświętszym miastem islamu”, z wieloma zabytkami, ma ok. 100 tys. mieszkańców; *Dżibuti* – stolica i największe (780 tys. mieszkańców) miasto państwa Dżibuti, port nad Zatoką Adeńską, założone w roku 1888, od 1892 do 1977 stolica Somali Francuskiego, obecnie służy jako główny port Etiopii, duży ośrodek handlowy i przemysłowy.

⁴ Joseph-Marcel *Germain* (1865-1906) – francuski wojskowy, uczestnik misji Marchanda w randze kapitana, potem podpułkownik artylerii, służył w Indochinach; Charles *Mangin* (1866-1925) – francuski wojskowy, uczestnik misji Marchanda w randze kapitana, generał artylerii podczas I wojny światowej; Eugène *Gouly* (1868-1898) – francuski wojskowy, uczestnik misji Marchanda w randze porucznika, zmarł podczas niej na febrę; Oscar-René *de Prat* (1865-1921) – francuski wojskowy, uczestnik misji Marchanda w randze sierżanta; *Monis* – na listach europejskich członków misji Marchanda nie ma tego nazwiska, może pomyłka zamiast porucznika marynarki Morina; Victor Emmanuel *Largeau* (1867-1916) – francuski wojskowy, uczestnik misji Marchanda w randze porucznika, jako pułkownik dowodził w walkach w Czadzie, od roku 1915 generał, zginął pod Verdun; Jules *Emily* (1866-1944) – francuski lekarz wojskowy, uczestnik misji Marchanda, w czasie I wojny światowej naczelnym lekarzem VII i VIII armii.

Landeroin¹, którym towarzyszyło dwustu Senegalczyków-Sudańczyków², naszych czarnoskórych braci, wykazujących odwagę i poświęcenie wykraczające poza wszelkie pochwały.

Głęboko poruszała ich świadomość, że jako narzędzia najwyższej sprawiedliwości dokonają próby pomszczenia niepowodzenia, jakie było losem misji Marchanda.

Podstępni Brytyjczycy postanowili pokonać Francuzów, aby dzięki temu opanować dolinę Nilu. Obecnie nadciągali inni Francuzi, którzy spustoszą tę dolinę, przeciągną na swoją stronę jej mieszkańców i wydadzą bezlitosną wojnę, mającą na celu przegnanie zdobywców.

Myśli ciekawskiego dziennikarza, jak też pełnej wdzięku Nilii, zostały skierowane w tę stronę i zapomnieli już o zamiarze zapytania Roberta o tajemniczych garncarzach, o których mówił.

Wieczorem nad lagunami zabrzmiały dźwięki trąbki.

Były sygnałem ogłaszającym robotnikom zachętę do wypoczynku.

Został rozbity obóz na noc i biali ludzie wślizgnęli się pod grube moskitiery, ponieważ nad trzcinami wzniosła się brzęcząca chmura złożona z legionów żądnych krwi komarów.

Potem nadszedł następny dzień.

Zagrały ponownie trąbki oznajmiające pobudkę, a na mokradłach zaroilo się od piróg i biegaczy noszących *rakiety wodne*.

Robert Lavarède już nie spał.

Przy wysepce czekała łódź o płaskim dnie i wysoko uniesionych końcach, sprawiających, że wyglądała jak gondola.

Swoje miejsca zajmowali w niej wiosłarze.

Zaraz potem ze swoich namiotów wyszły Aurett, Lotia i Nilia, o twarzach różowych i uśmiechniętych jak jutrzeńka, który przebudzona rozsuwa kotary złożone z porannych oparów.

Szybko dołączyli do nich Armand, Jack i nieodłączny Hope. Na polecenie Roberta wszyscy usiedli w łodzi, która sunąc z pełną pewnością uniosła swoich pasażerów.

¹ Moïse Landeroin (1867-1962) – u P. d'Ivoi: Landesson, francuski wojskowy i językoznawca, uczestnik misji Marchanda jako tłumacz z języka arabskiego, później badacz języka hausa i urzędnik kolonialny w Czadzie i Gabonie.

² *Senegalczycy-Sudańczycy* – tubylczy żołnierze francuskich wojsk kolonialnych z utworzonego w roku 1891 szwadronu spahisów sudańskich, wchodzącego w skład strzelców senegalskich.



Płynęli tak przez pięć dni, pokonując kanały, stawy i jeziora, robiąc postoje na noc na łąkach z wyschniętego mułu lub piasku, ale nigdy nie zatrzymały ich zapory z roślinności, z którymi jakże ciężkie walki toczyła ongiś misja Marchanda.

Nie doszło do tego, gdyż od trzech miesięcy milion ludzi pracował przy wytyczaniu łatwych do przebycia szlaków przecinających wodną pustynię.

Płynący napotykali wszędzie brygady czarnoskórych, dowodzone przez żołnierzy służących wcześniej w oddziałach egipskich.

Wszędzie też, co z wielkim zadowoleniem stwierdzali Francuzi, przestrzegano surowej dyscypliny.

Armia wyzwolencza będzie wkrótce w stanie przystąpić do ofensywy.

W ten sposób podróżni osiągnęli rzekę Soueh i płynąc w górę jej nurtu dotarli do Tambury.

Podczas całej drogi ich czołno mijało ciężko załadowane barki, a gdy Armand zastanawiał się na głos – zmyślny sposób na otrzymanie odpowiedzi bez sprawiania wrażenia dopominania się o nią – jakież to towary przewoziły wszystkie te łodzie, Robert odpowiadał:

– Zobaczysz.

To słowo drażniło jego kuzyna, ponieważ każdy chyba przyzna, że nic bardziej nie złości, niż ciekawość, której nie można zaspokoić.

W Tamburze na towarzyszy Roberta, generała i narzeczonego Lotii, czekała niespodzianka.

Na dwóch brzegach Soueh zbudowano prawdziwy suchy port¹.

Stały w nim przycumowane liczne barki, a chmara czarnoskórych wypełniała je po przenośnych trapach kładzionych między łodziami a brzegiem.

Największą jednak ciekawość Armanda budził charakter ładowanych rzeczy.

W suchych portach stały stopy wielkich glinianych cylindrów, które umieszczano wzdłuż burt barek.



¹ *Suchy port* – teren bez dostępu do wody, choć w jej pobliżu, z którego drogą lądową przewożone są towary na jednostki pływające i z nich odbierane.

Ubywające naczynia były nieustannie odnawiane. Z górnego biegu Soueh przybywały przywożone tratwami, a z głębi ładu wozami ciągniętymi przez bawoły, wielbłądy, a nawet słonie.

A wszystkie te pojazdy, tratwy i wozy, dostarczały cylindry z pokrytej szklivem gliny.

– Ach tak! – zawołał dziennikarz, nie mogący dłużej zachowywać milczenie. – Czyli Afrykę środkową zamieniłeś w ogromny warsztat garncarski?

Robert z powagą kiwnął głową.

– Jakżeś rzekł, kuzynie.

– A zatem...?

– Wszystkie ludy, od Bahr-el-Ghazal do M'Bomou¹, do Ubangi² i Kongo, lepią teraz cylindry podobne do tych, które widzisz tutaj.

Armand nagle złapał się oburącz za głowę.

– Co chcesz z tego zrobić, biedaku?

– Najstraszliwszą broń, jaka może być wykuta przeciwko Anglii.

Paryżanin wyglądał na mocno zaskoczonego.

– Niech mnie diabli, jeśli pojmuje, do czego może się przydać ta gliniana artyleria!

– Sam przecież kilka dni temu wspomniałeś o tym kłopotcie.

I powoli dodał:

– Czyś nie rozpoznał, że w bliskiej już wojnie zwycięstwo przypadnie temu, kto zdoła zapewnić wodę konieczną do napojenia swoich oddziałów?

– Tak... ale...

– Poczekaj. Uniemożliwiłem moim wrogom dostęp do tej cennej cieczy, kierując do Konga wody Nilu Białego, Sobatu³ i Bahr-el-Ghazalu.

¹ *M'bomou* – Mbomou, rzeka w środkowej Afryce, o długości około 800 km, źródła ma blisko źródeł Soueh, płynie na zachód, stanowiąc granicę między Republiką Środkowoafrykańską a Demokratyczną Republiką Kongo, łączy się z rzeką Uele tworząc Ubangi.

² *Ubangi* – duża (o długości 1060 km), rzeka w północnej części Demokratycznej Republiki Konga, główny prawy dopływ Konga, powstaje z połączenia rzek Mbomou i Uele, w dolnym biegu wyznacza granicę między Demokratyczną Republiką Konga i Kongiem.

³ *Sobat* – rzeka we wschodniej części Sudanu Południowego, prawy dopływ Nilu Białego, o długości 354 km, powstaje z połączenia rzek Baro i Pibor przy granicy z Etiopią, niesie białe osady, które dały nazwę Nilu Białego.

Teraz zaś dwieście tysięcy ludzi ciężko pracuje kopiąc głębokie rowy wzdłuż dawnego łożyska rzeki faraonów. Kładą w nich połączone z sobą te gliniane kawałki rury...

Armand uderzył się w czoło.

– Już wiem. Jeden koniec tej kanalizacji wychodzi z ogromnego jeziora, które dopiero co przebyliśmy. a drugi...

– Poprzedzi moje wojsko. Na całej swej drodze moi ludzie natrafią na wielkie zbiorniki wypełnione wodą, która będzie nieustannie odnawiana. Obliczyłem wielkości koniecznego przepływu, nieuniknionych strat i mogę zapewnić, nie lękając się popełnienia błędu, że armia afrykańskich patriotów nie zazna nigdy pragnienia.

Armand uściśnął dłoń kuzyna.

– Drogi Robercie... zaiste, jesteś z rodziny Lavarède. Wojna w tym kraju toczy się nade wszystko o wodę. Znalazłeś rozwiązanie tego kłopotu. Podziwiam cię i gratuluję.

I obaj kuzyni, po serdecznym *shake-hand*, dokonali przeglądu stoczni.

Było tak naprawdę. Woda, owa ciecz, w podręcznikach chemii opisywana jako bezbarwna, bezwonna i nie mająca smaku, stanie się głównym czynnikiem zwycięstwa.

Pozbawiona tej składającej się z wodoru i tlenu (HO) cieczy armia była skazana na śmierć lub na pospieszny odwrót.

Wykorzystując wszystkie dostępne mu ręce, Robert swoją kampanię rozpoczął od mistrzowskiego posunięcia, o skutkach bardziej pomyślnych, niż dałoby je dziesięć wygranych bitew. Dzięki zaopatrzeniu swoich wojsk w wodę zapewnił im przytłaczającą przewagę.

Ponadto wcześniejsze tygodnie z czysto wojskowego punktu widzenia nie były stratą czasu.

Z Abisynii przybywały wtedy stale konwoje z bronią i amunicją, a teraz niemal wszyscy zgromadzeni pod egipską flagą czarnoskórczy byli uzbrojeni w doskonałe karabiny, z posługiwaniem się którymi byli obecnie zaznajomieni.

W tej zbieraniu ludów występujących zbrojnie przeciwko Anglii została również wdrożona dyscyplina.

Wszystko będzie wkrótce gotowe do rozpoczęcia rozstrzygającej walki.

Przez osiem dni kuzyni i ich towarzysze pozostawali w Tamburze, czuwając nad wysyłaniem rur z emaliowanej gliny oraz przyjmując wizyty okolicznych wodzów.

Dawno już Szyllukowie¹ z moudirieu² Faszody, ci sami, którzy w przeszłości z takim przekonaniem stanęli po stronie komendanta Marchanda, dawno już, powtórzmy, po usłyszeniu tylko, że jakiś Francuz stanął na czele wyprawy przeciwko Anglii, wybrali sprawę patriotów.

Nienawiść, której ziarna w Afryce Środkowej zasiewały barbarzyńskie postępowanie i zdzierstwo przedstawicieli władz angielskich, wszędzie rodziła takie owoce.

Nie wszyscy tak samo dobrze rozumieli, jaki jest cel tego przedsięwzięcia, ale wszyscy dostrzegali wyraźnie, że dojdzie do starcia Francuzów z Anglikami.

Dla Afrykanów zaś Francja oznaczała to, co dobre, natomiast Anglia kojarzyła się z grabieżą i mordem.

Oczywiste więc było, że ciągnęło ich do Francji z owym naiwnym oddaniem, jakie przejawiają ludy w stadium dzieciństwa, które łagodnością pozyskuje się znacznie łatwiej niż przemocą.

Dziwiącego dnia Robert oznajmił przyjaciółom, że nadeszła pora wyruszenia.

Udadzą się nad Nil, poza Faszodę, na rozległe równiny, na których, zgodnie z wysyłanymi wszędzie rozkazami, miały się zebrać wojska egipskie i złożone z czarnoskórych.

Nastąpiła wtedy chwila niemożliwej do wyrażenia emocji.

Nareszcie zaczęły się działania zbrojne, i w krótkim czasie dojdzie do bezlitosnych walk o niepodległość doliny Nilu.

Wszyscy byli poważni i skupieni, kiedy wsiadali na pokład łodzi, na której przyплыли.

Lotia, Aurett i Nilia rozważały coś, Jacka dręczyła myśl, że niedługo spotka się znowu z dawnymi przyjaciółmi, walczącymi za

¹ Szyllukowie – lud mówiący językiem z grupy nilo-saharyjskiej, zajmuje tereny na zachód od Nilu Białego w Sudanie Południowym, rolnicy, hodowcy bydła i rybacy, ich średni wzrost jest jednym z najwyższych w całym świecie, trzecia pod względem liczebności (ok. 450 tys.) grupa etniczna Sudanu Południowego.

² Moudirieh – mudirat, z arabskiego *mudiriyah*, prowincja, dawniej nazwa głównej jednostki podziału terytorialnego w Egipcie i Sudanie.

Anglię, a ogarnięci spalającą ich niecierpliwością Robert i Armand cieszyli się szybkim ruchem łodzi, gdyż dzięki czarnym wioślarzom niby strzała sunęła po wodzie.

Spokój zachowywała jedynie małpa Hope.

W czasie pobytu w Tamburze została nauczona palenia przez pewnego Murzyna z plemienia Dinka¹, pełnego podziwu dla wielkiej małpy w czerwonym ubraniu. Zachwycony tą nową umiejętnością orangutan wprost *spalał* papierosy, okolony chmurą dymu mniej przejrzystą od tej, w której krył się Jowisz², jak opowiadali poeci nawiedzający dom tego boga Bajd.

Zgodnie z rozkazami naczelnego wodza, łódź w drodze powrotnej nie posuwała się kanałami, którymi przypłynęła.

Wypełniało je zbyt wiele barek, które na pewno spowalniałyby w drodze podróży, a Robert chciał szybko dotrzeć na miejsce zgromadzenia się jego wojsk.

Dlatego łódź podążała bocznymi kanałami, wolnymi od przeszkód.

W końcu trzeciego dnia drogi przybiła do piaszczystej wysepki wylaniającej się na środku rozległego jeziora.

Czołno przycumowano, rozbito namioty i wszyscy zaraz potem zapadli w głęboki sen.

Spotkała ich jednak niemiła pobudka.

Sen podróży przerwał wystrzał z pistoletu. Wszyscy w jednej chwili zerwali się na nogi i pośpiesznie opuścili swoje płócienne osłony.

Poza nimi stanęli jednak zaskoczeni.

Otaczał ich oddalony o dziesięć kroków krąg potworów.

Krokodyle, które na całym Bahr-el-Ghazalu wystraszyło nagle wtargnięcie wojsk Roberta, schroniły się w rzadziej odwiedzanych przez ludzi zakątkach mokradeł.

¹ *Dinka* – lud mówiący językiem z grupy nilo-saharyjskiej, zamieszkuje środkową i wschodnią część Sudanu Południowego, nad Nilem Białym i Błękitnym, na w pół osiadły, mężczyźni zajmują się hodowlą bydła, a kobiety rolnictwem, największa pod względem liczebności grupa etniczna Sudanu Południowego, obecnie jest jej 4,5 miliona.

² *Jowisz* – rzymski odpowiednik greckiego najwyższego boga Zeusa, który według mitologii (wspomnianych bajd), okrywał się czarną chmurą podczas schadzek z nimfą Io.

Nieświadomi tego podróżni zapuścili się na tereny, w których ro-
iło się od tych wrogów nowego rodzaju, tym bardziej groźnych, że
poprzez same swe zgromadzenie były skazane na śmierć z głodu.

Lękliwe jeszcze, nie odważały się na razie na atak, ale setki otwar-
tych paszczy, zamykających się niekiedy z niecierpliwym klapaniem,
zapowiadały, że straszliwe gady wkrótce już rzucą się na stojącą
grupkę.

Były pewne swojej zdobyczy.

Ich liczebność stale rosła.

Z wody co chwila wyłaniały się i pęzały po piasku nowe cielska
pokryte brązowymi łuskami.

Krąg w ich środku powoli się zmniejszał.

Nie można było nawet myśleć o przedarciu się przez krokodyle
i powrocie do czółna.

Co najmniej jednego z podróżnych czekałoby wówczas nieunik-
nione pochwylenie przez potężne szczęki.

Kiedy niezdolne wyzbycia się okrutnego lęku młode kobiety tu-
liły się do siebie, pośród ciszy zabrzmiał głos Roberta.

– Niech nikt się nie rusza. Gdy tylko znajdę się za linią krokody-
li, ruszajcie do czółna. Wsiadźcie do niego i sterujcie w moją stronę.

Co chciał przez to powiedzieć?

Wszyscy pojęli... za późno, aby móc powstrzymać śmiałego Fran-
cuza.

Wyposażony w urządzenie Aubry'ego, mający na nogach rakiety
wodne, a na pasie przyrząd je przytrzymujący, Robert skoczył przed
siebie, w obu rękach trzymając rewolwer.

Z bliska strzelał z nich w żadne żeru paszcze.

Huki broni i jęki rannych zwierząt wywołały wśród drapieżników
zamieszanie.

Rozstępowały się przed gnającym na nich wrogiem.

Nie tracąc ani chwili, Robert skoczył, osiągnął brzeg i wpadł do
wody, a potem zaczął biec z całych swych sił.

Posuwał się naprzód, skręcał, kluczył, manewrował, przemykając
się bez trudu pomiędzy krokodylami pływającymi po powierzchni
wody, których z wszystkich punktów horyzontu przyciągała zbliża-
jąca się uczta.

Drapieżniki obracały się w miejscu i ścigały Roberta.

Pozostające jeszcze na lądzie gady ulegały instynktowi naśladownictwa, z którym rodzą się wszystkie zwierzęta żyjące stadnie, i pośpiesznie wracały do jeziora, powiększając liczbę zwierząt ściągających uciekiniera.

Wyseпка opustoszała, dostęp do czółna stał się wolny.

Nikt jednak nie myślał nawet o skorzystaniu z okazji uzyskanej dzięki poświęcenia Francuza. Wszyscy trwali w osłupieniu. Paraliżowała ich szybkość owego wydarzenia. Przyglądali się pościgowi, stadu krokodyli płynących w ślad za człowiekiem, który niczym łyżwiarz mknął po tafli jeziora.

Jeden błędny ruch, jeden upadek i Robert byłby stracony.

Zimną krew jako pierwszy odzyskał Armand.

– Do łodzi! – rozkazał.

Tonem głosu uświadomił towarzyszom powagę sytuacji.

Należało bez zwłoki wykonać polecenie „generała na Egipt”¹. Ocalenie ludzi na wysepce zależało od szybkości czółna.

Ucieczka nie mogła bowiem być długa; wioślarzom szybko zabraknie sił... a wtedy...

Szybko, w pośpiechu, zajmowano miejsca w łodzi; biali na rufie, a wioślarze na swoich stanowiskach.

– Naprzód! – zduszonym głosem zawołał dziennikarz.

Wiosła uderzyły wodę i czółno popłynęło, pomknęło.

Daleko przed nim Robert wskazywał ręką kierunek, w którym miało podążać.

Wydawał się oddalać od linii wyznaczonej dla łodzi.

Wyglądało na to, że zwalnia.

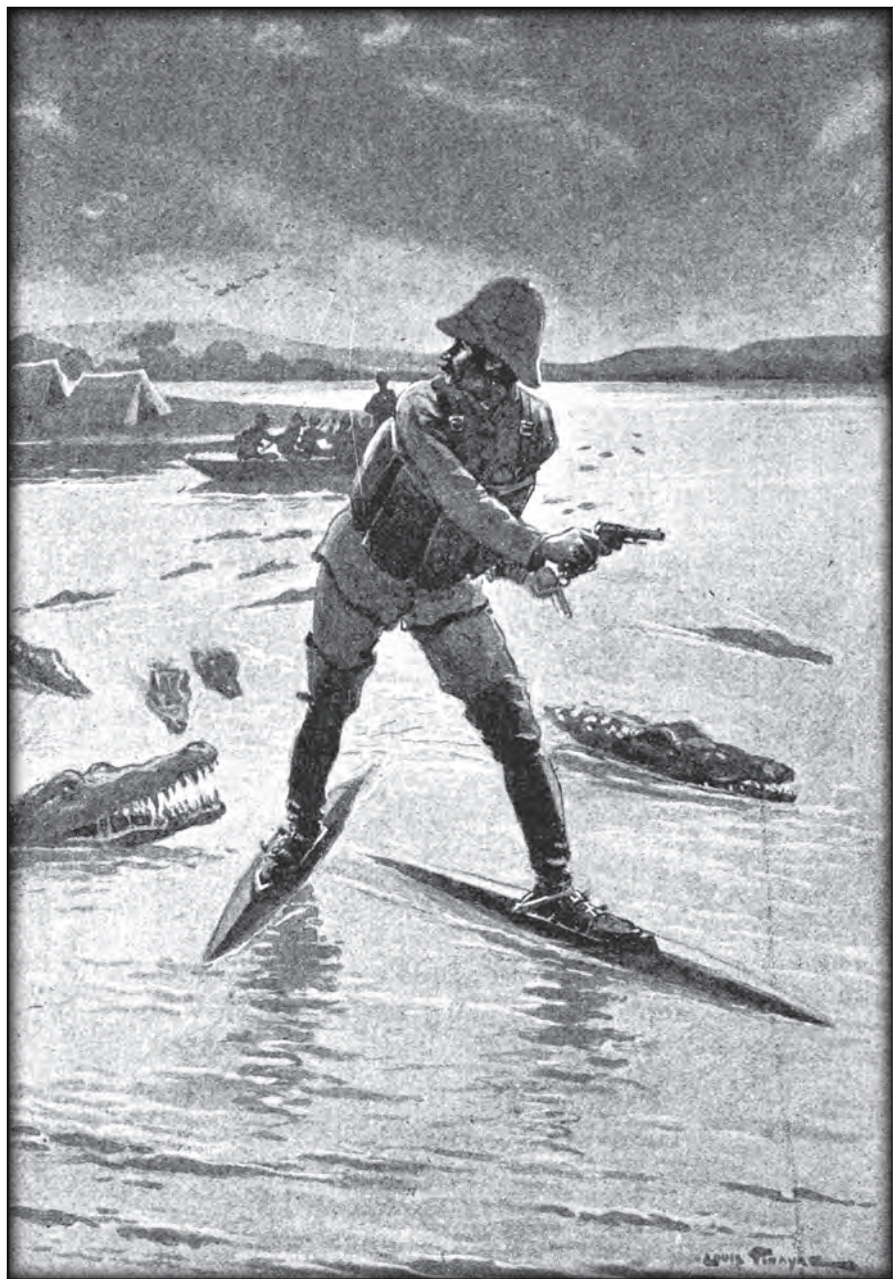
– Czy jest wyczerpany? – z obawą zastanawiali się jego przyjaciele, przypatrujący się w oszołomieniu temu dziwnemu widokowi.

Nie, chciał po prostu doprowadzić do zgromadzenia się krokodyli. Znajdowały się dziesięć metrów od niego, tworząc zachowujące zwarte szyki oddziały.

Robert wtedy znowu odbiegł i nagle zmieniał kierunek ucieczki, zakreślając szeroki łuk, aby zbliżyć się do czółna.

Wspaniałe rakiety wodne. Jakże doskonały przyrząd!

¹ *General na Egipt* – określenie Napoleona Bonapartego podczas jego wyprawy egipskiej w latach 1798-1801.



Wyposażony w urządzenie Aubry'ego, mający na nogach rakiety wodne, a na pasie przyrząd je przytrzymujący, Robert skoczył przed siebie, w obu rękach trzymając rewolwer.

Robert ślizgał się szaleńczo. Zmylone tym zręcznym manewrem krokodylę zostawił daleko za sobą.

Był uratowany.

Nie. Z wszystkich ust wyrwał się okrzyk pełen strachu.

Podczas próby wyminięcia masy pływających roślin Francuz skręcił zbyt gwałtownie.

Zachwiał się i upadł, a wtedy zbliżył się skrycie ogromny gad i rzucił się na niego z otwartą paszczką.

Lotia z jękiem przerażenia padła w ramiona Aurret.

Niemal jednak w tej samej chwili wioślarze wzniesli w niebo okrzyk triumfu.

Zamiast stać się zgubą Roberta, zwierzę go uratowało.

Francuz wymknął się mu rzutem w bok. Złapał się twardego pancerza krokodyla i uzyskawszy tak punkt podparcia odzyskał równowagę.

Wyruszył ponownie.

Zbliżał się do czoła, osiągnął je i wpadł do środka.

Wioślarze, pracując z całych sił, po kilku minutach stracili z oczu stado głodnych i zawiedzionych krokodyli.

Wybuchła wtedy ogromna radość. Wszyscy ściskali dłoń dzielnego Francuza, który narażając życie uchronił właśnie przed śmiercią swoich przyjaciół.

Lotia, z oczami mokrymi od łez, pociągnęła Francuza, aby usiadł przy niej, złożyła głowę na jego ramieniu i nadal rozdygotana wpatrywała się weń, nie wypowiadając ani jednego słowa.

Podczas dalszego pokonywania Bahr-el-Ghazalu nie doszło do powtórzenia się równie mocnych emocji.

Dwudziestego siódmego dnia od wyruszenia osiągnięto skraj strefy umożliwiającej żeglowanie.

Na podróży czekały mehari¹, czyli wielbłądy wyścigowe.

Karawana zatrzymała się nad wyschniętym teraz Nilem.

Podróźni przebyli kraj Szylluków i zatrzymali się na noc w Fasozdzie, małym miasteczku, w której został ongiś obalony zatknięty przez Marchanda francuski sztandar.

¹ *Mehari* – używana w basenie Morza Śródziemnego nazwa wielbłąda, zwłaszcza szybkiego, używanego w wojsku, zaczerpnięta z języka arabskiego (*mahri*).

Trzy kolory znowu powiewały powyżej flagi egipskiej. A podróż odbywała się nadal.

W ruchu był teraz cały kraj. Na każdej drodze, na równinach i w dolinach, widoczne były oddziały pod bronią. Jazda i piechota, prowadzone przez dowódców egipskich, posuwały się w dobrym porządku.

Rozpoznawanego po drodze Roberta pozdrawiano gorącymi wiatami.

Kiedy zasalutował, siedzący na wielbłądzie Hope z powagą zdejmował kapelusz stosowany.

Czarnoskórzy nie przyjmowali jednak tego śmiechem. Orangutana pokazywali sobie z oznakami wyraźnego szacunku.

W ich oczach mała była czarownikiem, rodzajem ożywionego *grigri*¹, a zatem fetyszem² armii niepodległości.

W końcu, trzydziestego piątego dnia po wyjeździe z Tambury, Robert i jego przyjaciele dotarli do Roueh³, które miało się stać kwaterą główną.

Obóz patriotów ciągnął się, dokąd tylko sięgał wzrok, a gliniane rury, wytwarzane z rozkazu Roberta, wypełniały ogromne zbiorniki wodą dostarczaną z odległości pięciuset kilometrów z Bahr-el-Ghazalu, będącego obecnie dopływem Konga.

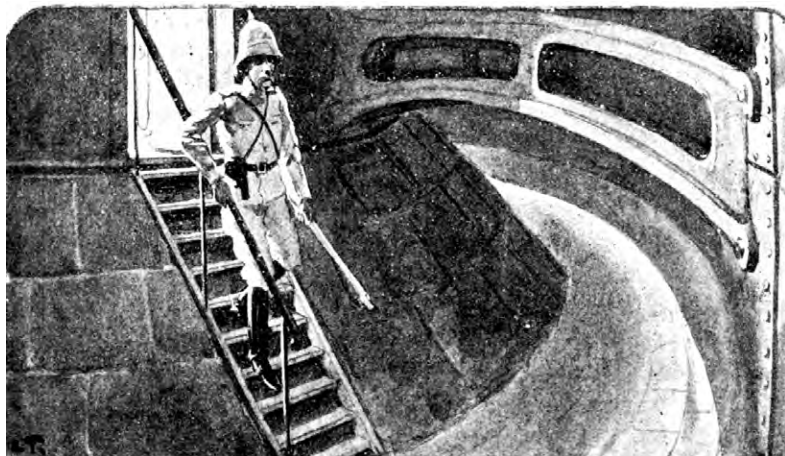
Natomiast w dawnym korycie Nilu widać było jedynie kilka kałuż cuchnącej wody, otoczonych piaszczystymi łachami lub wyschniętym błotem, które pękało już wystawione na słońce.



¹ *Grigri* – w Afryce Zachodniej nazwa amuletu chroniącego przed złem, zwykle małej torebki pokryta arabskimi napisami, zawierająca różne drobne przedmioty, stosowane są też w religii woodoo.

² *Fetysz* – przedmiot (naturalny lub twór człowieka) posiadający w sobie magiczną moc.

³ *Roueh* – miejsce nieznanne.



Rozdział II

U wroga

Dwie kilometry na południe od Chartumu, starego miasta mahdyistów¹, zdebronizowanego przez Omdurman, nową stolicę założoną na zachód od Nilu, wznosiły się dwie wieżyczki obrotowe, stojące na obu brzegach rzeki.

Te dwie wyposażone z ciężkie działa wieżyczki były wysuniętymi wartownikami niezmiernie długiego łańcucha stalowych fortów, którymi Anglia obstawiła nurt od Kairu do Chartumu.

Znajdująca się na prawym brzegu miała numer 1, a na lewym numer 2.

W tej drugiej młody porucznik artylerii, w opiętym dolmanie z białego płótna, mający na nosie okulary w złotych oprawkach, siedział przy stoliku z rozłożoną na nim szachownicą, na której stały wszystkie figury i pionki.

¹ *Mahdyści* – zwolennicy Mahdiego (Mesjasza), przydomka Muhammada Ahmada ibn Abd Allaha (1844-1885), wędrownego kaznodziei, który w roku 1881 stanął na czele powstania przeciwko władzy egipskiej, w 1885 jego oddziały zdobyły Chartum i cały Sudan, wkrótce zmarł na tyfus, założone przez niego państwo teokratyczne w roku 1898 pokonały wojska angielskie pod dowództwem lorda Kitchenera.

Oficer z wielką uwagą wpatrywał się w szachy, dotykając kolejno ręką króla, królową, gońce, skoczki, wieże i pionki.

Tym samotnym graczem był baronet¹ Timy Logdale, jedyny syn członka Izby Lordów i duma rocznika *Peerage and Baronetage*², bardzo szanowanego herbarza arystokracji angielskiej.

Młody Timy Logdale miał tak wielką krótkowzroczność, że jak to mówi brytyjskie powiedzenie, *nie zobaczyłby jarda puddingu na końcu swojego nosa*. Czyniło to go człowiekiem najbardziej, jak tylko można, nienadającym się uprawiania rzemiosła wojskowego.

Wskutek jednak wysokiego urodzenia, ogromnego majątku, a zwłaszcza utrwalonego w jego rodzinie zwyczaju rozpoczynania kariery w armii, został mianowany porucznikiem w korpusie artylerii królewskiej.

Co więcej, powierzono mu dowództwo wieżyczki numer 2, aby dzięki jej wysuniętemu położeniu zyskał możliwość szybkiego awansowania.

W brytyjskiej armii uważa się bowiem chętnie, że tytuły szlacheckie są dobrym uzasadnieniem awansu.

Timy Logdale w swojej wieżyczce tkwił od niemal trzech miesięcy, bez przekonania czekając na przybycie armii buntowników... powiedzieliśmy, że bez przekonania, gdyż uznawał za nieprawdopodobne, aby owi durnie ośmielili się zaatakować wojska brytyjskie.

Artylerzystów, którzy podlegali jego rozkazom, podzielił na warty, mające za zadanie śledzenie równin, które na obu brzegach rzeki ciągnęły się dokąd tylko sięgał wzrok.

Dlatego zwykł powtarzać:

– Buntownicy nigdy nas nie zaskoczą. Dojrzymy ich z odległości sześciu kilometrów.

Zarozumiałe zapewnienie w ustach krótkowidza, który nawet w pince-nez³ miał trudności z odróżnieniem na swoim talerzu kawałka *roast-beef*⁴ od karczocha w sosie pieprzowym.

¹ *Baronet* – najniższy dziedziczny angielski tytuł arystokratyczny.

² *Debrett's Peerage and Baronetage* – angielskie wydawnictwo periodyczne ukazujące się od roku 1769, stworzone przez Johna Debretta, podające w skrócie dzieje każdej angielskiej rodziny szlacheckiej, wychodzi co pięć lat, ostatnio w roku 2019.

³ *Pince-nez* – używane dawniej okulary bez zauszników, trzymające się dzięki sprężynce ściskającej nos (po francusku *pince nez* to ściskać nos).

⁴ *Roast-beef* (ang.) – pieczeń wołowa.

Po wydaniu tych rozporządzeń lord Timy Logdale tylko się nudził.

Na szczęście sąsiadujące wieżyczki połączono kablami telefonicznymi i pewnego pięknego dnia Timy zadzwonił do dowódcy wieżyczki numer 1.

– Halo! Halo! Z porucznikiem Braddockiem.

Takie nazwisko nosił dowodzący ta, oficer, stary i doświadczony wiarus, który po dwudziestu pięciu latach służby, odbyciu piętnastu wypraw wojennych i odniesieniu jedenastu ran, dochrapał się w końcu swoich dwóch belek.

Logdale od razu otrzymał poniższą odpowiedź, która trochę go zdumiała:

– Nieźle, a pan...? Mam lekką fluksję¹; gdyby nie ona, byłbym rad. Rozpoczęło to następującą rozmowę:

LOGDALE. – Chcę złożyć panu pewną propozycję.

BRADDOCK. – Ma pan rację. Upał jak w piecu.

LOGDALE. – Czy umie pan grać w szachy?

BRADDOCK. – Na dobitkę są komary.

LOGDALE. – Czy chce pan powiedzieć, że ta gra panu nie odpowiada?

BRADDOCK. – Ja mam skórę wygarbowaną. Zobaczy pan, że wszystkie komary przejdą do pana.

Młody lord przetarł dłonią czoło. Czy jego kolega z wieżyczki numer 1 oszalał?

Mimo wszystko wrócił do aparatu i krzyknął na cały głos:

– Czy zgodzi się pan zagrać ze mną w szachy?

Padła taka odpowiedź Braddocka:

– Phi! Phi! W języku angielskim nie ma słowa strachy. Żołnierze brytyjscy niczego się nie boja.

Niewątpliwie działo się coś niezwykłego.

Dlatego Logdale postanowił jednego ze swoich artylerzystów wysłać do wieżyczki numer 1, a kiedy ten żołnierz wrócił, dostarczył porucznikowi wyjaśnienia tłumaczącego niespójność rozmowy telefonicznej.

Braddock był głuchy jak pień, ale za żadne skarby nie chciałby się do tego przyznać.

¹ *Fluksja* – dawna nazwa zapalenia lub ropnia szczęki.

Pewien podoficer z kompanii porucznika pełnił zwykle funkcję jego sekretarza, zastępując przy telefonie i przekazując mu w zapisie stenograficznym wypowiedane słowa.

Żołnierza tego nie było przy Braddocku, kiedy lord przemawiał do wibrującej płytki.

Z tego wynikło owe zamieszanie.

Teraz wszystko było załatwione, rozgrywka szachowa została uzgodniona. Od następnego dnia o ósmej każdy z oficerów miał znaleźć się przed swoją szachownicą i przekazywać przez telefon wykonywane ruchy.

Rozpoczęta przed miesiącem gra jeszcze się nie skończyła.

Logdale, po długim namyśle, przesunął jednego ze swoich gońców.

Potem podbiegł do telefonu.

– Halo...! Halo!

– Jak to...!

– Goniec, na trzecie pole w siódmej kolumnie... Szach królowej.

– ...!

Znowu usiadł i czekał.

Upłynęły trzy godziny. Gorączkowo rozdzwonił się sygnał rozmowy i porucznik po przyłożeniu słuchawki usłyszał:

– Prawy skoczek bije gońca...
królowa jest wolna.

Krzyknął, rzucił okiem na szachownicę, upewnił się, że rzeczywiście popełnił błąd, podstawiając swojego gońca w zasięgu ciosów skoczka przeciwnika, i wyraziwszy gestem złość odpowiedział:

– Dobrze zagranie, drogi kolego... Nie mam dzisiaj swojego dnia. Ponadto, jest już późno, chodźmy na obiad. Do gry powrócimy dziś wieczorem, o czwartej, po sjeście.

Uzyskał odpowiedź:

– Oczywiście.

Następnie lord Timy Logdale opuścił parter wieżyczki numer 2, po stalowej drabinie zszedł piętro niżej, i przecisnąwszy się między stalową kopułą a otaczającym ją betonowym kręgiem, znalazł się



na przedstoku¹ (jeśli można tą nazwą określić teren otaczający ruchomą warownię).

Na północy dostrzegał masę budowli Chartumu, a wszędzie wokół niego pokrywające równinę namioty i tymczasowe baraki.

Stanowiły obóz armii angielskiej, która na rozkaz sirdara Lewisa Bigguna zgromadziła się w tym miejscu, aby tak daleko na południe od Egiptu zatrzymać bandy buntowników, jakie według doniesień dostarczanych przez rozesłanych we wszystkich kierunkach szpiegów przebywały pośrodku rozległych mokradeł Bahr-el-Ghazal.

Tam zgubiono po nich wszelkie ślady i najpewniej owi ludzie, podburzeni przez przeklętych Francuzów, Roberta i Armanda, ugrzęźli w ruchomej piaskach i mulistych wodach tego środkowoafrykańskiego bagniska.

Ci zaś, którzy nie utonęli, musieli błakać się po tamtej płynnej pustyni, umierając z głodu, gdyż byli wyzbyci żywności i nadziei.

Sprawa brytyjska na pewno zatriumfowała bez walki.

Takimi właśnie optymistycznymi domysłami sirdar dzielił się wówczas z doktorem Gorgiusem Kaufmannem.

Ten zaś kręcił głową, wyglądając na niezbyt przekonanego.

Wiedzano by o takiej tragedii. W Afryce wieści rozchodziły się niewiarygodnie szybko.

Zniknięcie armii liczącej niemal milion ludzi wprawiałoby w dreszcze lęku cały czarny ląd. A do niczego takiego nie doszło.

– A zatem – jęknął rozdrażniony argumentami doktora Lewis Biggun – przypuszcza pan, że przeżyło wielu tych łajdaków.

– Nic o tym nie wiem, milordzie generale; niemniej obawiam się, że pojawią się wtedy, kiedy będziemy się ich najmniej spodziewali.

Sirdar wzruszył ramionami.

– Gdyby mieli możliwość zaatakowania, to czy nie sądzi pan, że przez ponad dwa miesiące, które tu spędziliśmy, doszłoby już do walk?

– To właśnie ich bezczynność mnie niepokoi.

– A to dlaczego, proszę pana? – rzucił ironicznie głównodowodzący. Kaufmann wznosił oczy do nieba:

¹ *Przedstok* – w fortyfikacjach sztuczny stok ziemny lub murowany, utrudniający dostęp do murów twierdzy.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Sądzę jednak, że buntownicy mają powody, aby się jeszcze nie pokazywać. Tylko przez dwie godziny widziałem ich wodza, owego Roberta Lavarède’a, kiedy mnie i tą nieśczęsną Nilię porwał w mojej karrowarce, a potem, dziesięć kilometrów za Kairem, bez ceregieli zostawił na skraju drogi... No i...

– No i?

– To niebezpieczny człowiek. Proszę sobie przypomnieć masową ucieczkę mieszkańców doliny Nilu. Została przygotowana długo wcześniej. Każda rodzina wiedziała, którą drogę wyruszy. A myśmy niczego nie podejrzewali, nie przewidywali. Ogromnie się obawiam, że teraz będzie tak samo. Coś jest przygotowywane, a co, uświadomimy sobie dopiero wtedy, gdy zagrożenie pojawi się bez zapowiedzi.

Tym razem sirdar nic nie odpowiedział.

On również odczuwał niejasne obawy, do których przyznał mu się niemiecki uczonec.

Wrogowie jakby rozplynęli się w powietrzu. W tym opuszczonym przez tubylców kraju nie natrafiono na najdrobniejsze nawet ich ślady.

Co zatem szykowali ci buntownicy?

Dlaczego trwa ta budząca rozdrażnienie beczynność? Gdzie się ukrywali? Czy szykowali jakiś tajemniczy podstęp? Jaką broń wykuli przeciwko Anglii?

Przechodzący obok lord Timy Logdale rozróżnił niewyraźnie sylwetki dwojga ludzi. Nie przesunęły się, dlatego krótkowzroczny porucznik wziął je za gązdy i beztrósco szedł dalej nie podejrzewając, że minął tak dowodzącego nim generała.

Wybrał się do messy, zjadł spore śniadanie, wypił kilka lampek szampana (warto to odnotować, że to wino mu nie smakowało, ale uważał, że popijanie nim każdego posiłku jest postępowaniem słusznym, właściwym i zgodnym z dobrymi manierami... *Noblesse oblige*¹, czyż nie?), a następnie rad ze swojego losu wstał i wrócił do wieżyczki, po drodze zaledwie dwa lub trzy razy wpadając na krzesła, namioty lub baraki, których nie dojrzał.

Kiedy Logdale wszedł już na parter baterii, zamierzał położyć się na czas sjesty, ale pomimo starannego przeszukania nie zdołał nigdzie

¹ *Noblesse oblige* (fr.) – szlachectwo zobowiązuje (do właściwego postępowania).

znaleźć materaca, który jego ordynans rozkładał na żelaznym łóżku, aby szlachetny lord mógł wyciągnąć na nim swe zmęczone członki.

Zdumiony tym Timy wołał i wciskał elektryczne dzwonki łączące różne pomieszczenia kopuły, aż w końcu do baterii wbiegł winny niedopatrzenia artylerzysta.

– Panie poruczniku – zaczął – proszę o wybaczenie...

– *All right!* Wybaczę ci, kiedy rozłożysz mój materac.

– Natychmiast – powiedział żołnierz i w pośpiechu wykonał polecenie.

Pomimo to lord zgromił go:

– Co żeś robił?

– Ach, panie poruczniku, z kolegami przyglądałem się Nilowi.

– To paradne Wiedz, mój chłopcze, że masz tutaj nie przyglądać się Nilowi, ale go doglądać.

Zadowolony ze swojej gry słów Timy raczył się uśmiechnąć.

– Dobrze wiem, że mamy go doglądać – szepnął artylerzysta – tylko, że...

Lord nastawił ucha.

– Że co?

– Niestety, chciałem powiedzieć, że jeśli będzie tak dalej, to może zwolnią nas z trzymania warty.

– Zwolnią?

– Bo nie zostanie nam nic do pilnowania.

Co znaczyły te słowa? Lord zastanawiał się, czy aby jego ordynans nie pozwolił sobie na przesadę w popijaniu. Pomimo tego zażądał:

– Wy tłumacz się.

– To pan porucznik jeszcze o tym nie wie?

– Zapewne, skoro cię pytam.

– Niech pan porucznik się nie gniewa... Już odpowiadam. Proszę sobie wyobrazić, że... w Nilu jest tylko połowa tej wody, która była w nim przedwczoraj.

– Tylko połowa?

– I ta ilość stale się zmniejsza... z przerażającą prędkością. Do końca tygodnia nie zostanie ani trochę wody.

– Ani trochę wody!

Niespodziewanie Timy Logdale wybuchnął śmiechem. Do licha, jego rozmówca był pijany.

Ani trochę wody w Nilu! Taka myśl nie przyszlaby nigdy do głowy człowiekowi trzeźwemu.

Dlatego rzucił wesoło:

– Też coś! Chłopcze, jeżeli zabraknie wody, to nic na tym nie stracisz; wydaje mi się, że wolisz czysty *gin*.

I nie dając żołnierzowi możliwości odpowiedzi, łagodnie wypchnął go na zewnątrz.

– Idź odpocząć, pocziwy człowieku, idź... i wlej trochę wody w swoje sny; wszystkim wyjdzie to na dobre.

Ciągle się śmiejąc, Timy dokończył rozkładanie łóżka i z wielką ochotą się na nim położył.

– Ten pijak wpadł na wspaniały pomysł! – mówił do siebie. – Wspaniały! Nie ma ani trochę wody w Nilu...! Jak bardzo ten biedaczek się dzisiaj upił? Zobaczmy w kalendarzu, którego świętego dzisiaj czcimy¹...?

Wstał, sprawdził kalendarz zawieszony na blaszanej ścianie i wracając do łóżka mówił dalej:

– Saint Lewis... Świętego Ludwika²... To wszystko tłumaczy. W wojsku mamy pełno Ludwików... zaczynając od sirdara, Lewisa Bigguna... Tak na imię ma też mój pułkownik, i major... i mój kolega z wieżyczki numer 1... Lewis Braddock... Moi artylerzyści wzięli świętego Ludwika za świętą Barbarę³... W sumie to bez znaczenia... Po sjeście sprawy już nie będzie.

Lord zamknął oczy i ulegając przytłaczającemu upałowi południa, szybko zasnął.

Leżał nieruchomo na pryczy, z kropelkami pokrywającymi jego czoło, a z ust, rozchylonych pod podkręconymi w górę jak znak akcentu jasnymi wąsami, ulaatywał równy oddech.

¹ *Czcimy* – Anglicy nie obchodzą imienin.

² *Święty Ludwik* – spośród kilku świętych o tym imieniu chodzi zapewne o Ludwika IX (1214-1270), króla Francji od roku 1226, organizator i uczestnik krucjat, kanonizowany w roku 1297.

³ *Święta Barbara* – jest patronką między innymi żołnierzy.



Bez wątpienia długo jeszcze czas przebywałby tak w krainie snów, gdyby nie zabrzmiał wściekle dzwonek telefonu.

Logdale zerwał się na równe nogi.

– Co, ach tak...! Telefon... Co tam znowu?

I pochyliwszy się nad deseczką powiedział:

– Hallo... Hallo... Kto dzwoni?

Po drucie do jego ucha dotarły te słowa:

– To ja... Lewis Braddock.

– Ach! No tak, Lewis – powtórzył Timy z uśmiechem, przypominiawszy sobie nagle rozmyślania, którym oddawał się zasypiając.

Szybko wrócił jednak do rozmowy:

– Pośpieszył się pan, drogi Braddocku. Gra zacznie się dopiero o czwartej.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– O Nil.

Krótkowzroczny porucznik wzdrygnął się naraz.

O Nil? Jak to, czy Braddock chce powtórzyć głupi żart ordynansa?

Czy dzień świętego Ludwika obchodzili nawet oficerowie?

Tego byłoby za wiele, a zatem Logdale zapanował nad chęcią śmiechu i poprosił:

– Porozmawiajmy o Nilu.

– To bardzo ważne.

– Nie wątpię, drogi przyjacielu.

– Woda opada...

– Woda opada... Też coś! – zawołał lord, śmiejąc się do łez.

Jego rozbawienie, przekazywane wibracjami aparatu, nie spowodowała się jednak Braddockowi, który zapytał karcącym tonem:

– Bawi to pana?

– Niezmiernie.

– Mówiąc między nami, nie powinno.

– No dobrze! Nie będę opłakiwał utraty kilku kropli wody. Zostanie jej dość na herbatę.

Zabrzmiało przekleństwo, wyrzucone z mocnych płuc dowódcy wieżyczki numer 1.

– Nieszczęsny! Pan żartuje!

– Zawsze – odparł Logdale, w którym z każdą minutą narastała radość.

– Czyli nie rozważał pan sytuacji. Przy braku wody barki nie mają możliwości zaopatrywania nas; a wobec tego nasza armia nie ma możliwości utrzymywania swoich pozycji. To oznacza odwrót, opuszczenie flagi angielskiej...

Timy odsunął się trochę od telefonu. Braddock się rozpalał. Nie powinien urazić tego dzielnego towarzysza broni, tego odważnego partnera w grze w szachy. I młody oficer szeptał pod nosem:

– Ciekawe, że u obu pijaków pojawiło się wspólne urojenie... Najpewniej jeden przejął ją od drugiego... A zacny Braddock nawet pijany dobrze rozumuje. Zaopatrywanie, angielska flaga... Nie dam mu się jednak zatrzymać przy telefonie aż do końca sjęsty. Wolę teraz spać.

Po tym stwierdzeniu Logdale pochylił się nad deseczką:

– Proszę o wybaczenie, drogi przyjacielu. Wzywają mnie obowiązki... Do widzenia.

Nie czekając na odpowiedź, Timy odłożył słuchawkę i wrócił na swoją prycze.

Tego dnia odpoczynek nie był mu jednak pisany.

W pozycji horyzontalnej pozostawał przez zaledwie dziesięć minut i właśnie zaczynał popadać w poprzedzające sen rozkoszną ociężałość, kiedy do baterii wtargnął żołnierz.

– Panie poruczniku! Panie poruczniku!

Oficer poderwał się i zapytał surowo:

– Co znowu...? – *Czy wszystkie diabelskie moce sprzysięgły się, żeby pozbawić mnie snu?*

– Balon zwiadowczy, panie poruczniku.

– Balon!

Logdale wstał.

– No dobrze! Jak to? Balon?

– Unosi się nad wieżyczką, panie poruczniku. To „Victoria”, którą dowodzi sir Thomas Bird, komendant parku aerostatów.

– I co z tego...? Nie obchodzi mnie, że się unosi.

– To, że wysyła regulaminowe sygnały.

– Które...

– Które proszą o rozmowę z dowódcą wieżyczki numer 2. To pan nim jest, panie poruczniku, i...

Oficer zdusił w ustach przekleństwo. Pomimo tego podbiegł do stalowej drabiny prowadzącej do górnej baterii. Po znalezieniu się na pierwszym piętrze, bez zaczerpnięcia tchu wspiął się z kolei po drabinie wiodącej na szczyt kopuły, uruchomił sprężyny, które zamykały w niej klapę i zeskoczył na zewnętrzną powierzchnię warowni z metalu.

Przez chwilę stał tam nieruchomo, oślepiony rażącymi oczu promieniami słońca i przytłoczony gorącem, jeszcze mocniej odczuwanym w porównaniu ze względnym chłodem wnętrza baterii.

Potem odwrócił się do artylerzysty, który przyszedł po nim.

– Gdzie jest „Victoria”?

– Dokładnie nad nami, panie poruczniku.

Logdale zadarł nos, zapominając o swojej krótkowzroczności, przy której z odległości dziesięciu kroków nie odróżniłby słonia od króla Karola.

Oczywiście nie zobaczył aerostatu¹. Równie oczywistym było to, że zgodnie ze zwyczajem wielu krótkowidzów, winą za swoją ułomność obciążył innych.

¹ *Aerostat* – statek powietrzny lżejszy od powietrza, do aerostatów zalicza się balony i sterowce.

– Niech diabli wezmą ten niewidzialny balon; czy nie można było nadać mu takiego koloru, że byłby widoczny z daleka?

Przerwał mu artylerzysta.

– Panie poruczniku, opada telefon.

– Jaki telefon?

– Ten z balonu. Mister Bird na pewno chce z panem rozmawiać.

Istotnie, nad głową Logdale’a kołysał się „słuchawko-mikrofon”, wiszący na końcu cienkiego, mocnego drutu, wychodzącego z kosza.

Jak widać, balon zwiadowczy armii angielskiej był wyposażony w najnowsze udoskonalenia.

Wspomagany przed podwładnego lord złapał słuchawkę i rozpoczęła się rozmowa.

– Hallo... hallo...

– Słucham.

– Z lordem Timy Logdale.

– To ja.

– Czy pańska wieżyczka jest zaopatrzona w wodę?

– Wedle regulaminu mam jej na osiem dni.

– To za mało. Niech rozkaże pan prace. Napełnijcie cysternę. Musi pan zapewnić zapasy tej cieczy na dwa miesiące.

– Też coś! Czy nie mamy tu Nilu?

– Nie może pan liczyć na rzekę.

Te słowa oszołomiły lorda.

– Jak to? Jak? – bełkotał.

– Opada zastrasząco szybko. Teraz to tylko strumyk. Jeśli potrwa tak dłużej, jutro nie będzie w nim ani trochę wody.

– Ani trochę wody!

Zapominając, że rozmawia z przełożonym, Timy szepnął:

– Tego już za wiele. Widziałem już, jak obchodzono dzień świętego Ludwika, ale nigdy do tego stopnia.

– Co pan powiedział? – zapytano z kosza.

Oficer przypomniał sobie o dobrych manierach i powiedział:

– Mówię, że to niewiarygodne.

– A jednak tak jest. A teraz proszę zostawić słuchawkę. Wzbiję się i polecę uprzedzić dowódców sąsiednich wieżyczek.

- Do widzenia, sir Birdzie.
- Do widzenia, lordzie Logdale.

Młody mężczyzna rozłożył palce, a aparat telefoniczny natychmiast się wzniosł. Timy stał na kopule w stanie pełnego osłupienia.

– Nil wysycha! To jakiś kiepski żart. Na pewno wszystkim tym ludziom coś się przywidziało.

Po namyśle dodał:

– No dobrze! Pojdę zobaczyć samemu. Jeśli chcą się pośmiać moim kosztem, to będzie im mniej wesoło, kiedy rozkażę im gromadzić wodę.

Po powiedzeniu tego wrócił do wieżyczki, zszedł na poziom podziemia i pięć minut później, w towarzystwie nadal podążającego za nim wiernego artylerzysty, maszerował nad brzegiem rzeki.

Wbrew temu, co sądził, ani Braddock, ani Bird nie wymyślili dla żartu *very humbug*¹.

Zmniejszone do jednej trzeciej szerokości koryto Nilu ukazywało w blasku słońca swoje piaszczyste i muliste dno, po którym pełzały przestraszone krokodyle, zaskoczone nagłym spadkiem poziomu wody.

Tu i ówdzie większe jamy, zagłębienia, jakie występują w każdej rzece, tworzyły małe jeziora, które w upale dnia miały niedługo zaniknąć.

To łożysko rzeki zmieniające się na oczach w suchy wąwóz sprawiało dziwne i przerażające wrażenie.

Logdale niczego jednak nie dostrzegał.

Choć zszedł już na dno Nilu, to uważał, że nadal znajduje się na brzegu.

Ten krótkowidz, niechcący za nic przyznawać się do stanu swojego wzroku, kroczył tak nieostrożnie, że wpadł w jeden z dołów, którymi niby pułapkami usiana była jego droga, i... chlup...! zniknął w wodzie.

Artylerzysta natychmiast podbiegł z pomocą i zdołał wyciągnąć lorda na stały grunt, ale w jakim stanie! Przemoczonego do suchej nitki, z butami pełnymi błota.

¹ *Very humbug* (ang.) – prawdziwa bujda, blaga, zwłaszcza rozbudowana i związana z oszustwem.



Artylerzysta natychmiast podbiegł z pomocą i zdołał wyciągnąć lorda na stały grunt, ale w jakim stanie!

Pomimo tej przykrej przygody porucznik wykazał się typowo angielskim uporem i kiedy tylko był w stanie mówić, zawołał:

– W Nilu nie ma już wody...! Chyba oszaleli... Teraz wiem, że jest jej wystarczająco dużo.

Potem zaś, z wzdrgnięciem porzucając dalsze zajmowanie się zagadką, którą uważał teraz za rozwiązana, ruszył z powrotem do wieżyczki, aby wymienić na suche ociekające wodą ubranie.

Za to w obozie spadek poziomu Nilu wywołał nieopisane zamieszanie.

Piechurzy, kawalerzyści, artylerzyści i żołnierze dosiadający mehari tłoczyli się na brzegów, przyglądając się postępującemu wysychaniu.

Rzeka, mająca tydzień wcześniej kilometr szerokości, była teraz zaledwie pięćdziesięciometrowym strumieniem.

I z każdą godziną ta strużka wody zmniejszała się, zwężała.

Co za dziwne zjawisko tu zachodziło? Ten niewytłumaczalny cud u wszystkich budził przerażenie.

W swoim namiocie lord Lewis Biggun, w otoczeniu sztabu, rozmawiał z Gorgiusem Kaufmannem.

– Według mnie – powiedział Niemiec – buntownicy odwrócili bieg Nilu. Tylko to mogło spowodować stwierdzony przez nas przerażający spadek poziomu.

– W jakim celu?

– Łatwym do przewidzenia. Bez stoczenia walki zmuszają nas do odwrotu. Żołnierze angielscy, tak przecież dzielni, nie są w stanie walczyć z pragnieniem.

Słuchający go oficerowie mieli pochylone głowy i wyglądali na zamyślonych.

– Racja. Czeka nas pragnienie – z niechęcią rzucił sirdar – jednakże, sir Kaufmann, przy przyjęciu pańskiej hipotezy, buntownicy natkną się na takie same trudności. My będziemy musieli wycofać się na północ, ale oni nie będą mogli nas ścigać.

Niemiec gestem potwierdził.

– Wobec tego – mówił dalej Biggun – niezbyt dostrzegam korzyść z tego manewru.

Rozumowanie było logiczne. Głównodowodzący nie mógł się domyślać przygotowania przez Roberta Lavarède'a gigantycznego rurociągu. A gdyby nawet przyszło mu to do głowy, uznałby taki plan za niemożliwy do zrealizowania, ponieważ angielskiemu wodzowi daleko było do rozpoznania prawdziwych rozmiarów powstania.

Pełnemu brytyjskiego braku zainteresowania podbitymi ludami lordowi nie przyszło do głowy, że cały czarny ląd, tyranizowany przez przedstawicieli władz anglosaskich, przyjdzie z pomocą powstaniu nad Nilem.

Dlatego po chwili milczenia dodał:

– Uważam, że wykorzystując porę roku, buntownicy wznieśli tamę, która skierowała Nil do jakiegoś obniżenia terenu na pustyni. Ma to nas przestraszyć, ale wody pozbawi na co najwyżej kilka dni; kiedy obniżenie się przepelni, rzeka popłynie znowu.

Następnie podniósł rękę, żądając tym uwagi dla siebie:

– Jestem pewien, że armia tych drani nie jest daleko. Czekaj na nasz odwrót, aby móc ogłosić zwycięstwo. No cóż! Nie damy im tej satysfakcji. Pułki mają zaopatrzyć się w wodę. W tym czasie nasza jazda wyprawi się na południe. Bez względu na koszt musimy rozpoznać pozycję wroga.

Jeszcze raz zrobił pauzę, zanim zakończył mówiąc:

– Niestety, mocno zaniedbaliśmy naszą służbę aerostatów. Nie skorzystaliśmy z osiągnięć dokonanych we Francji, zwłaszcza przez komendanta Renarda¹. Naszymi balonami nie można sterować; inaczej nie narażałbym ludzi i koni na trudy przeprowadzenia tak dalekiego zwiadu, ale na pewno wszyscy się ze mną zgodzicie, że w pracy trzeba posługiwać się tymi narzędziami, jakie się ma.

Słowa te przyjęto szmerem potwierdzenia.

Biggun uśmiechnął się i zasalutował wszystkim wkoło:

– Do dzieła, panowie. Nasza jazda wyruszy jeszcze dziś wieczorem.

Oficerowie od raz rozeszli się po obozie. W różnych miejscach zabrzmiały dźwięki trąbek. Pułki kawalerii gromadziły się na zbiorach, odbierając zapasy żywności i amunicji.

¹ Charles Renard (1847-1905) – francuski wojskowy i inżynier, pionier lotnictwa, od roku 1888 komendant Wojskowej Służby Aeronautycznej, twórca pierwszych sterowców, autor wielu wynalazków.

O czwartej wszyscy byli gotowi do wymarszu.

Dosiadający wielkiego, gniadego konia sirdar przejechał szybko przed frontem oddziałów, zwrócił się w kilku słowach do starszych oficerów, a potem wzniosł szablę.

Natychmiast powietrze wypełniły rozkazy. Szwadrony zakolebały się i krótko potem cała kawaleria rozproszyła się na równinie.

Różne oddziały, posuwające się w równych szykach, dawały poczucie mocy, które ogarnęło żołnierzy, na chwilę podupadłych na duchu z powodu wyschnięcia Nilu.

Pojawiła się znowu pewność siebie, rozjaśniająca wszystkie twarze.

Co słabo uzbrojone i nieznające dyscypliny bandy buntowników będą mogły przeciwstawić tym pułkom, posuwającym się niby żywy mur?

Zostaną przegnane, wybite, a sztandar starej Anglii, ozdobiony nowymi laurami, zwycięsko i dumnie załopocze nad ostatecznie podbitą doliną Nilu.

Przez całą noc szwadrony jechały na południe.

Rano rozbiły obóz niedaleko miasteczka El-Salayak¹.

Nigdzie nie dostrzeżono najmniejszych śladów wroga, co wywoływało żarty żołnierzy z ich niewidzialnych przeciwników. Jak w londyńskiej „burlesce”, mówili:

- Egipcjanie to nie baby.
- Dzielni, ale jak te kraby...
- Na wroga idą wstecz.
- Hip! Hurra na ich rzecz!

Nawet oficerowie, pobudzani dobrym humorem swoich żołnierzy, wymyślali kąśliwe epigramaty szydzące z armii patriotów.

Pustynny wiatr na pewno nie zaniósł tych pięknych drwin do uszu tych, których dotyczyły, gdyż na horyzoncie nic się nie pokazało.

Za to woda w rzece, wzdłuż której podążała brytyjska kawaleria, ciągle opadała.

Po upalnym dniu, w porze wyruszenia pułków w dalszą drogę, Nil przemienił się w zwykły potok o szerokości trzech, czterech metrów, w którym bardzo trudno byłoby zamoczyć kolana.

¹ *El-Salayak* – zapewne inna pisownia nazwy wioski As Sulay'ah w Sudanie, na prawym brzegu Nilu Białego, leżącej 50 km na południe od Chartumu.

Wszędzie po błocie pełzały hordy krokodylów, na próżno poszukując przepadłej wody, a na niebie krążyły stada ibisów, które swoje przerażenie wyrażały ostrymi, niezbornymi skrzekami.

– Do diabła – rzucił wyzwisko jadący w boku kapitana młody człowiek ubrany po cywilnemu, ale uzbrojony po zęby – do diabła, obawiam się, że nasza armia będzie zmuszona do wycofania się aż do Chartumu, do którego Nil Błękitny przynosi wodę z abisyńskich płaskowyżów, skoro wygląda na to, że Nil Biały został już skazany na całkowite wyschnięcie.

— Phi! Sir Price – odrzekł jego rozmówca – kilka mil więcej czy mniej niczego nie zmienia.

Cywil wzniosł oczy ku niebu, odsłaniając twarz, przedtem częściowo ukrytą pod płóciennym kaskiem.

Był nim John Price.

Po otrzymaniu listu, który Jack napisał w domu mistera Bobinowa, John poczuł, że ogarnia go uzasadniona wściekłość.

Na łzy zrozpaczonej mistress Price, wylewane bardziej z powodu utraty jednego z jej synów niż dowiedzenia się, że przeszedł on do obozu wroga, odpowiadał najstraszliwszymi groźbami.

Uzyskał zgodę na wyruszenie z armią angielską jako „ochotnik” i przysiągł sirdarowi, że tylko on zabije swojego brata, zdrajcę i buntownika.

Wszystko, co było w nim saskie, wzburzało się na myśl, że kawaler Orderu Podwiązki, człowiek z łaski jego władcy zaszczycony najwyższym brytyjskim odznaczeniem, mógł zdradzić króla.

Odrzucał bowiem rozterki uczuciowe, które skłoniły Jacka do uznania, że miał prawo schronić się pod sztandarem Francji.

Urodzenie się Anglikiem i wychowywanie się w Anglii było dlań jednym i tym samym, zaś zrzeczenie się pozostawiania poddanym Wielkiej Brytanii, chociaż posiadało się możliwości niepodważalnego szczytowania się tym, uważał za niewybaczalny błąd oraz pogwałcenie dobrego smaku, sumienia i rozsądku.

– Sam – grzmiał – zaczynałem uznawać go za brata. Zdradził nie tylko swój kraj, ale i moje uczucia.

Wyprawa odbywała się bez żadnych przeszkód.

Zwiadowcy nie rozpoznali najmniejszych śladów wroga. Widziane po drodze leżące odłogiem pola i nieliczne porzucone wioski wskazywały, że również w tych stronach wykonano rozkazu, ten sam, który posłusznie wykonano w Egipcie i Nubii.

Rankiem rozbito obóz niedaleko za miasteczkiem El-Douarm¹.

Zostało ono dokładnie przeszukane, ale w pustych chatach, białych domach z otwartymi drzwiami, meczety zwieńczonych smukłymi minaretami, nie natrafiono na żadnych mieszkańców, żadnych marabutów², żadnych wiernych. Zdobywcy zastali w nim bezludne pustkowie, tak samo jak wszędzie indziej.

Nil zaś zniknął.

Nie był już strugą, jak poprzedniego dnia. Wyszło całe koryto wielkiej rzeki, usiane kałużami wypełnionymi przestraszonymi jaszczurami, ale w palących promieniach słońca i one szybko wyparują.

Jakaż to katastrofa wysuszyła rzekę, która od zarania dziejów bez żadnych przerw niosła do Morza Śródziemnego fale przybywające z wielkich jezior?

John poczuł, że tym razem zżera go dręcząca ciekawość.

Co chwila przedstawiał jakąś hipotezę, szybko odrzucaną przez oficerów brytyjskich.

Nie potrafił rozpoznać przyczyny, ale skutek był niezaprzeczalny. Rzeka przekształciła się w zwykły wąwóz wyżłobiony w piasku.

Pomimo wszystko młody człowiek śniadanie zjadł z wielkim apetytem. Po nim schronił się w swoim namiocie, aby doznawać przyjemności drzemki, jakże potrzebnej po nocy spędzonej na koniu.

Spał głęboko, gdy ogłuszający hałas sprawił, że zerwał się na równe nogi.

Zewsząd dobiegało granie trąbek.

John rozpoznał sygnał wsiadanego.

Ziemia w tej samej chwili zadrżała od uderzeń tysięcy kopyt... Powietrze przecinały wołania i rozkazy.

¹ *El-Douarm* – miejscowość nieznaną, być może przekształcone Ed-Dueim, miasteczko w Sudanie na lewym brzegu Nilu Białego, leżące 150 km na południe od Chartumu.

² *Marabut* – w Maghrebie nazwa muzułmańskiego świętego, otaczanego kultem miejscowym; także budowla związana z tym świętym, jak jego grobowiec czy poświęcony mu meczet.

– Co jest? – wymamrotał syn mistress Price.

Wyskoczył z namiotu i stanął oszołomiony.

Cały obóz był w ruchu. Szwadrony skupiały się do walki, konie rżały.

Zatrzymał przechodzącego żołnierza.

– Co się dzieje?

– Wróg – krótko odpowiedział zagadnięty, który nie zwalniając kroku kontynuował swoją drogę.

Wróg!

To słowo zaskoczyło Johna. Od dwóch dni tak mocno wyszydzało wroga, że napotkanie go wydawało się naprawdę nieprawdopodobne.

Potem młody człowiek wybuchnął śmiechem. Mogli przecież oczyścić brzegi z tego wroga i za jednym zamachem zakończyć walki.

On zaś miał poszukać w boju Jacka. Honor rodziny Price wymagał, aby pokonany zdrajca legł u jego stóp.

Na tę myśl jego twarz sposepniała, a brwi się ściągnęły.

Pognał tam, gdzie uwiązał konia, osiodłał biedne zwierzę i wskoczył na jego grzbiet.

Pięć minut później gnał już na skrzydło jednego ze szwadronów pierwszej linii.

Rozległą równinę, pustą rano, nagle wypełnili ludzie. Zza horyzontu nadciągała chmara jeźdźców.

Wobec tych ogromnych mas angielskie pułki wydawały się wysepką, którą zaraz zaleje wzbierający ocean.

Wszyscy mężczyźni załadowali swoje karabinki. Trzymali je w prawej ręce, kolby mając oparte na udach, i z otwarciem ognia czekali, aż powstańcy znajdą się w zasięgu strzału.



Twarze oficerów wyrażały jednak zdumienie i niejasną obawę.

Jeźdźcy pustyni nie krzyczeli, nie rzucali się na oddziały brytyjskie jak w pełnej wycia *fantasii*¹, co było zwyczajem, który jakże drogo kosztował bandy derwiszów.

Nie, zbliżali się cicho, w równych szykach, jak wojska europejskie.

Pułkownicy, majorzy i kapitanowie zastanawiali się, jaka wola zdołała narzucić im tak ścisłą dyscyplinę.

Czy Francuzi, przez chwilę przetrzymywani jako jeńcy na kano-nierce „Look”, naprawdę mieli władzę dostateczną do przekształce-nia stado buntowników w regularną armię?

To pytanie wywołało u nich mocniejsze bicie serca, ponieważ walka zmieni swoje oblicze.

Angielscy żołnierze sądzili, że zmierzają się ze zgrają, taką jak ciżba mahdystów, niedawno pod Omdurmanem wybita przez lorda Kitchenera, z hordami bez żadnego porządku nacierającymi na ustawione w szeregi bataliony, z tłumami, które powalane ogniem karabinów powtarzalnych, nie zdołały nigdy zbliżyć się bardziej, niż na czterysta metrów.

Takie wojska nie stanowiły zagrożenia. Niskim kosztem zapewniały chwałę.

Zdyscyplinowane oddziały były czymś zupełnie innym. Niejeden oficer poczuł przechodzący go lekki dreszcz. Ich arogancja została zachwiana, a triumf przestał wydawać się całkowicie zapewniony.

Tymczasem jazda Roberta zbliżała się stale.

Sam Francuz, w towarzystwie Armanda, Lotii i Aurett, którzy stanowczo odmówili rozstania się z nim, zajmował miejsce pośrodku swoich szwadronów.

Trochę dalej za nimi Hope, przycupnięty na wielkim karym koniu, noszący czerwony strój i wojskowy kapelusz stosowany, z ciekawością patrzył przed siebie.

Przeglądał się także Jack, jadący jeszcze bardziej z tyłu. Wierny złożonej sobie obietnicy, że nie będzie walczył przeciwko krajowi, w którym się wychowywał, za jedyną swoją broń miał biały parasol.

¹ *Fantasia* – tradycyjne popisy jeździeckie wykonywane w Maghrebie podczas różnych uroczystości, odgrywana szarża kawalerii.

Nagle powietrze przeszły ostre trzaski.

To wystrzelili angielscy kawalerzyści.

Kule świstały, i część patriotów spadła z siodła.

Robert odwrócił się, rzucił na Lotię spojrzenie zdradzające przeżenie.

Ona jednak podjechała do niego koniem i wyglądając na natchnioną, na uosobienie duszy egipskiej, powiedziała:

– Naprzód. Zwyciężymy albo razem zginieemy.

Owe słowa jakby pobudziły Francuza. Wyzbył się wszelkich resztek obaw, podniósł szablę i rzucił krótki rozkaz.

Zabrzmiął grzmot. Teraz to powstańcy kazali przemówić prochowi.

Uważający, że zmierzą się ze słabo uzbrojonym przeciwnikiem Anglicy ujrzeni z osłupieniem, jak kule wdzierają się w ich szeregi.

Oficerowie pojęli, że ich położenie jest trudne, że tylko śmiałym posunięciem mogą przechylić na swoją stronę szalę zwycięstwa i szwadrony niby jedna masa nagle popędziły naprzód.

Tego ciosu nie można było uniknąć. Uderzenie owej złożonej z ludzi i koni trąby powietrznej wstrząsnęło szykami egipskimi i je zerwało. Jakby dosiadając śmierć, kawaleria angielska przedarła się przez nie, pędząc przed sobą oszalałe ze strachu grupy.

Pośród tego zamieszania z parasolem w dłoni tkwił Jack, stojący, ponieważ padł jego koń, którego głowę przeszła kula. Wokół niego lśniły błyskawice stali.

Nagle wydał krzyk.

Naprzeciwno niego, również spieszony, wyrósł John.

Także pod nim zabito konia i teraz, wymachując szablą z zaczerwienioną klingą, uderzał nią i uderzał, jak legendarny drwal śmierci¹.

Ujrzawszy Jacka ryknął i skoczył na niego z uniesioną szablą.

Jack nawet nie drgnął.

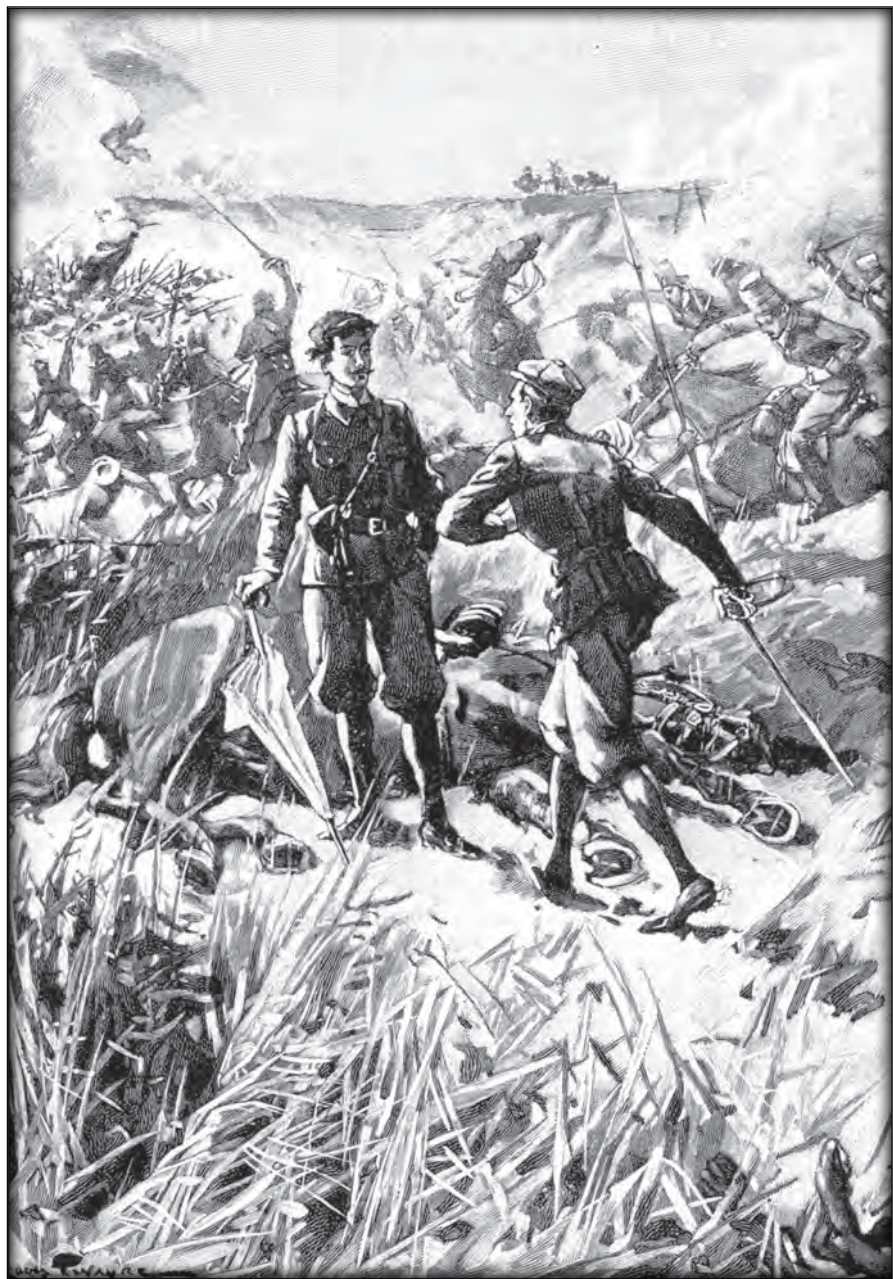
Swoim spokojem wpłynął na rzekomego brata. Ten się zatrzymał.

– Broń się – warknął.

Rozmówca pokazał mu swój parasol.

– Wyrzuciłeś swoją broń? – z najwyższą pogardą zapytał John.

¹ *Drwal śmierci* – zapewne nawiązanie do bajki „Drwal i śmierć” Jeana de la Fontaine (1 księga, 16).



Ujrzawszy Jacka ryknął i skoczył na niego z uniesioną szablą.

Jack pokręcił głową.

– Wyruszyłem do walki uzbrojony tak, jak jestem teraz.

– W parasol?

– Tak, Jako Francuz odzyskałem swój sztandar, jestem gotów oddać za niego życie, ale też przysiągłem, że nigdy nie wystąpię zbrojnie przeciwko krajowi, który przez dwadzieścia lat był dla mnie ojczyzną. Teraz jestem z tego powodu szczęśliwy, ponieważ mam pewność, że nie skrzywdzę ciebie, John, którego nadal kocham jak brata.

John podskoczył na te słowa.

– Mam być bratem zdrajcy...?

– Wiesz, że nie jestem zdrajcą.

– Nienawidzę cię. Chcę cię zabić.

– No to zabij...

Jack założył ręce na piersi. Spojrzał prosto w twarz swojego byłego brata.

– Zabij – powtórzył łagodnie. – Wówczas obaj spełnimy swój obowiązek. Ja zginę za mój sztandar, a ty pomścisz swój.

John przez chwilę jakby się wahał, a potem nagle odwrócił się plecami do brata, jednym ciosem szabli powalił czarnoskórego broniącego się przed angielskim żołnierzem i zniknął w wirze walki.

Jack ze smutnym uśmiechem szepnął.

– Biedny John, mimo wszystko mnie kocha.

Z tych myśli wyrwał go jednak krzyk, straszny, nadludzki, prze-rażający krzyk.

Angielskie szwadrony wycofywały się w wielkim pędzie, w nieładzie. Uciekały teraz, rozdeptując wszystko po drodze.

Nie było możliwości wymknięcia się im. Naddciągały z prędkością burzy.

Jack z prędkością błyskawicy przypomniał sobie, że w takich przypadkach jedyną szansą wyjścia cało jest padnięcie na ziemię. Powodowane instynktem konie przeskoczyły nad leżącym mężczyzną.

Ten nieruchomy, ledwo oddychający, płasko wciskał się w ziemię.

Nad nim przeleciało tornado, z okrzykami, ostrymi rzeniami i szczękami broni.

Potem stwierdził, że wyszedł z tego bez ran.



Wstał i popatrzył w dal. Wydawało mu się, że w pyłe dostrzega niewyraźną sylwetkę orangutana galopującego w pogoni za brytyjskimi szwadronami.

Nie pomylił się.

Kiedy brytyjskie pułki szarżowały potężnie, doszło do rozdzielania się Hope'a i jego panów. Jakiś kawalerzysta szablą przeciął mu policzek.

Wtedy małpa rozwścieczona wskutek bólu i jak jego pobratymcy w takich przypadkach ogarnięta żądzą zemsty, zeskoczyła na ziemię, wyrwała palmę o grubości ramienia, a potem dosiadła swojego konia i ruszyła w pogoń za Anglikami.

Wywijając palmą jak maczugą, wpadła między brytyjskie szeregi, powalając wszystko wokół siebie.

Jej nagłe wtargnięcie przyniosło niespodziewane skutki.

Uciekający we wszystkie strony czarnoskórzy jeźdźcy nagle się zatrzymali.

Małpa, żywy fetysz, walczyła za nich. W ich prostych umysłach zakwitło przekonanie, że mają teraz zapewnione zwycięstwo.

To, czego nie zdołały osiągnąć po ponawianych wielokrotnie, ale na próżno, wezwaniach Roberta, Armanda i Lotii, ziściło się dzięki Hope'owi.

Afrykańscy jeźdźcy ruszyli pędem za orangutanem.

To natarcie, przeprowadzone w chwili, kiedy Anglicy uważali się już za zwycięzców w bitwie, tak ich zaskoczyło, że tym razem to oni ustąpili pola.

Na widok krwawiącego, wykrzywającego oblicze i straszliwego orangutana, który zdawał się prowadzić czarnych jeźdźców do bitwy, zaczęli odczuwać strach.

Robert i Armand wykorzystali ten nieoczekiwany przewrót sytuacji, zgromadzili swoje oddziały i runęli na skrzydło jazdy angielskiej.

W pułkach brytyjskich wywołało to zamieszanie. Otoczone kręgiem wrogów zechciały wyrwać się z okolenia przez nich i zmieniły kierunek jazdy. Było już jednak za późno.

Rozproszone, rozbite na dwadzieścia osobnych grup, z odwrotu przeszły w ucieczkę.

Do obozu dotarła zaledwie połowa jazdy, ale kawalerzyści nie zatrzymali się tam. Jak szaleni pogalopowali na północ. Dzięki temu się uratowali, ponieważ czarnoskórzy, po znalezieniu się wśród namiotów i bagaży, ulegli pokusie chciwości.

Zaniechali pogoni, aby zająć się plądrowaniem.

Jednego z grabiących, wodza Mazougę, dowódcę jazdy kraju Szylluków, podległego moudiriehowi Faszody, wziął do niewoli brytyjski pluton. Został spętany i potrójnym galopem zabrany do Chartumu.

Kiedy Robert i jego przyjaciele gratulowali sobie odniesionego zwycięstwa, kiedy ogromnie radowali się ich żołnierze, a obecni wśród nich sudańscy pieśniarze grioci¹ opiewali cnoty tych dzielnych, którzy polegli w bitwie, daleko na północnym horyzoncie niknęły z oczu resztki angielskiej kawalerii.

Jeźdźcy dźgali ostrogami ledwo dyszące konie, mające zakrwawione boki.

¹ *Grioci* – w Afryce Zachodniej grupa zawodowych bardów, wykonujących pieśni liryczne i epickie.

W dwadzieścia cztery godziny dotarli do obozu, dostarczając wieści o klęsce.

Z oszołomieniem dowiedzieli się tam, że cała angielska armia dokonu odwrotu.

Kiedy wyruszali, wyschnięty był tylko Nil Biały; a kiedy wrócili, z kolei Nil Błękitny, spływający z wyżyn abisyńskich i właśnie w Chartumie łączący się z pierwszym, Błękitny Nil wysechł także.

Dotrzymując umowy zawartej z Robertem Lavarède, poddani Menelika odwrócili bieg tej rzeki, kiedy tylko wypłynęła z jeziora Tana¹. Jej wody skierowali do rzek Gallas², Awasz³ i Tilleton⁴, a teraz Nil Błękitny swój czysty nurt toczy przez pustynię Danakil⁵. Za kilka dni ujdzie do morza we francuskiej zatoce Tadżura⁶, nieopodal Dżibuti, gdzie komendant Marchand, z powodu brytyjskiej zachłanności wypędzony z Faszody, w rozpaczę wszedł ongiś na pokład krążownika „D’Assas”⁷, który miał zabrać go do Francji.



¹ *Tana* – u P. d’Ivoi: Tuna, jezioro w północno-zachodniej Etiopii, o zmiennej powierzchni około 3000 km², leżące na wysokości 1786 m n.p.m., płytkie (do 14 metrów głębokości), wypływa z niego Nil Błękitny.

² *Gallas* – na mapie Fra Mauro z roku 1460 zaznaczono rzekę Galla, w środkowej Etiopii, na południe od rzeki Awash, być może też Gulla, mała rzeka na południe od jeziora Tana, prawy dopływ Nilu Błękitnego.

³ *Awasz* – duża (o długości ok. 1200 km) rzeka w środkowej Etiopii, o źródłach niedaleko Addis Abeby, płynie głównie na północ, uchodzi do jeziora Abie na granicy z Dżibuti.

⁴ *Tilleton* – nazwa nieznana, nie ma takiej rzeki w Etiopii.

⁵ *Danakil* – pustynia w północnej Etiopii i Dżibuti oraz południowej Erytrei, zajmuje depresję Kotliny Danakilskiej, z wieloma wulkanami.

⁶ *Tadżura* – zatoka w zachodniej części Zatoki Adeńskiej, w Dżibuti, o powierzchni 1920 km², francuska od roku 1887, kiedy to Anglicy wymienili ją za port Zaila.

⁷ *D’Assas* – francuski krążownik o nośności 4000 ton, zwodowany w roku 1886, w służbie do 1910.

Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!